

NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 60 cts.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW XV.
Nowowiejska 83 (dom własny) Telefon Nr. 470.

Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.

Prenumeratę przyjmuje Biuro UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Rok X. Kraków, 21 czerwca 1913. Nr. 25.

Turcya na wulkanie

(Treść na str 2).



Zamordowanie polskiego profesora we Lwowie.

Turcya na wulkanie.

(Do illustracyi tytułowej).

Zaledwie w Londynie położono podpis pod preliminarya pokojowe, w Konstantynopolu zagrzmiały znowu strzały, których echo rozległo się donośnie po całej Europie. Ugodzony kulą mordercy padł na ulicy wielki wezyr Mahmud Szefket Pasza.

Kiedy 11 b. m. opuścił w automobilu ministeryum wojny i udał się do pałacu sułtańskiego na placu Bajazeta, został obskoczony przez morderców. Oczekiwali oni nań na ulicy i rozpoczęli strzelać w chwili, gdy pojazd wielkiego wezyra ich mijał. Mahmud Szefket padł ciężko ranny. Adjutant jego rzucił się w pogoń za strzelającym i zdołał go ująć. Inni wspólnicy mordercy zasypywali automobil ministra dalej strzałami i zabili drugiego adjutanta oraz służącego.

Rozpoczęto natychmiast energiczne śledztwo. Wykryło ono, że wielki wezyr padł ofiarą spisku, zorganizowanego przeciw młodoturkom. Na czele tego spisku stali oficerowie i dawni zwolennicy Abdul Hamida. Celem ich było obalenie obecnego gabinetu. Jako pierwsza ofiara spisku padł wielki wezyr.

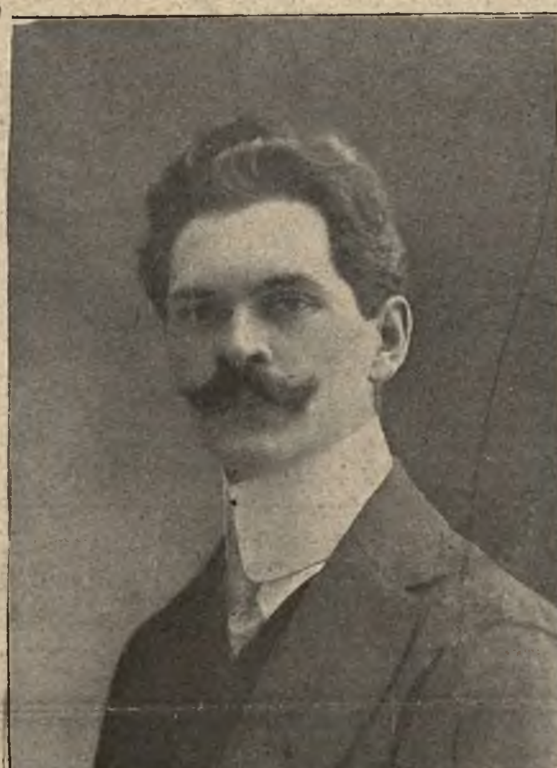
Policya w pościgu za mordercami dowiedziała się, że kilku z nich ukryło się w domu w dzielnicy Pera. Dom otoczono, aby ich ująć. Wtedy mordercy rozpoczęli gwałtowny ogień przeciw policyi. Walka trwała kilka godzin, a w rezultacie policya, wywaliwszy bramę, ujęła strzelających, straciwszy kilku ludzi.

Wielkiego wezyra pochowano z wielką uroczystością. Następcą jego został minister spraw zagranicznych ks. Said Halim Pasza.

Tytułowa nasza illustracya przedstawia chwilę zamachu.



Turcya na wulkanie: Zamordowany w Konstantynopolu wielki wezyr Szefket Pasza.



Zamordowanie polskiego profesora we Lwowie: Ś. p. prof. Karol Butkowski.

Sztab generalny w Galicyi.

Od tygodnia już bawi w Galicyi cały sztab generalny armii austro-węgierskiej. Pod komendą generał-majorów Franciszka Kanika i Henryka Csicserisca zjechali do Stanisławowa oficerowie generalnego sztabu w liczbie 65 wraz z oficerami wojskowego instytutu geograficznego, korpusu inżynierskiego i automobilowego. W ośmiu olbrzymich automobilach wyjeżdżają co dnia w okolice Stanisławowa, Halicza, wogóle w tereny nad Dniestrem, oglądając przeprowadzone w zimie oszańcowania i roboty fortyfikacyjne. Z powodu tego przyjazdu krążą po okolicy najrozmaitsze wersye. Najprawdopodobniejsze jest przypuszczenie, iż cała ta podróż generalnego



Turcya na wulkanie: Nowy wielki wezyr ks. Said Halim Pasza.



Konferencya nauczycielstwa okręgu krakowskiego: Grupa uczestników konferencyi przed szkołą Franciszka Józefa w Krakowie.

sztabu ma na celu ufortyfikowanie silniejsze wschodniej Galicyi, a specyalnie linii Dniestru, jak również obejrzenie terenu ze względu na projektowane w tych okolicach wielkie manewry w r. 1914.

We wtorek przybył do Stanisławowa sam szef



Sztab generalny w Galicyi: Szef sztabu generalnego armii austro-węgierskiej baron Konrad v. Hötzendorf opuszcza hotel w Stanisławowie.

sztabu gen. bar. Konrad v. Hötzendorf. Natychmiast po obiedzie pojechał automobilem do Halicza, a następnego dnia przedpołudniem do Buczacza i Monasterzysk.



Zamordowanie polskiego profesora we Lwowie: Eliasz Dżegało, morderca ś. p. prof. Butkowskiego. (Zdjęcie po aresztowaniu mordercy).

Illustracya nasza przedstawia szefa sztabu bar. Konrada v. Hötzendorf, opuszczającego hotel w Stanisławowie.

Zamordowanie polskiego profesora we Lwowie.

Zdawało się, że wzajemne dobrze układające się stosunki polsko-ruskie nareszcie wejdą na drogę



Zamordowanie polskiego profesora we Lwowie: Orszak pogrzebowy ś. p. prof. Butkowskiego przed pomnikiem Mickiewicza we Lwowie. (Fot. M. Münz, Lwów).



Zamordowanie polskiego profesora we Lwowie: Niezliczone tłumy odprowadzają zwłoki ś. p. prof. Butkowskiego na dworzec we Lwowie. (Fot. M. Münz, Lwów).



Zamordowanie polskiego profesora we Lwowie: Prof. Morelowski przemawia po wyniesieniu zwłok ś. p. prof. Butkowskiego z dworca w Krakowie.

dobrej i zgodnej pracy. Stało się tymczasem inaczej. Znowu we Lwowie rozległy się strzały, znowu padła ofiara. Strzały padły z ręki Rusina, zginął Polak! A choć może zbrodnia ta nie była dyktowana nienawiścią polityczną, tylko raczej nieopatrznością młodzieńczą, jednak pogłębiła ona znowu przepaść, dzielącą oba narody i odbije się poważnem echem w całym kraju.



Zamordowanie polskiego profesora we Lwowie: Pogrzeb ś. p. prof. Butkowskiego w Krakowie.

W seminaryum męskiem lwowskiem im. Piramowicza pełnił obowiązki profesora Karol Maryan Butkowski, syn p. A. Butkowskiego, inspektora krakowskiego wodociągu miejskiego. Prowadził on tam naukę języka polskiego.

Urodzony w roku 1881 w Górze Ropczyckiej, kształcił się w Rzeszowie, potem w Krakowie na Uniwersytecie Jagiellońskim. Przed trzema laty objął posadę we Lwowie.

Do seminaryum tego uczęszczają Polacy i Rusini. Otóż jeden z nich, Eljasz Dżegało, liczący niespełna 20 lat, dosyć lichy uczeń, uczuł specyalną niechęć do swego profesora języka polskiego. Wyraz jej dał w sposób niesłychany. Oto gdy przed kilku dniami prof. Butkowski opuszczał klasę po wykładzie, dobył rewolweru i czterema strzałami zabił go na miejscu.

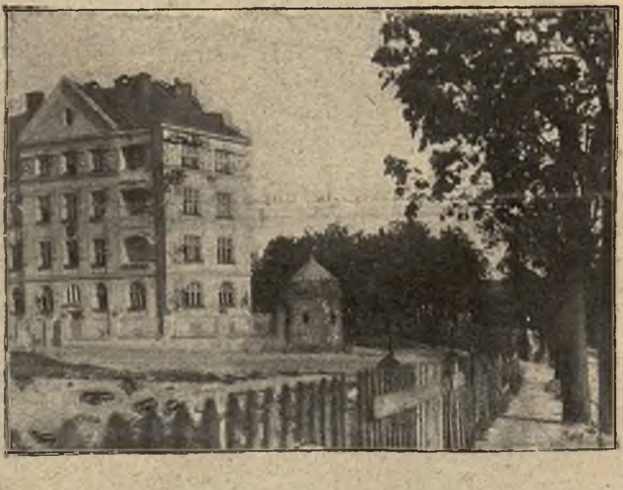
Fakt ten wywołał w całym kraju niesłychane wzburzenie. Policya rozpoczęła energiczne śledztwo, które dotychczas nie zostało ukończone. Jest ono bardzo rozgałęzione i zakreśla szerokie kręgi.

Ofiara zamachu, ś. p. prof. Butkowski, jest dzisiaj powszechnie opłakiwany. Pogrzeb jego we Lwowie był imponującą manifestacyą, w której brało udział dziesiątki tysięcy ludzi. Ponieważ zwłoki przewieziono do Krakowa do grobu rodzinnego, więc i tutaj tłumy wyległy na ulice, aby oddać cześć ofierze ruskich gwałtów.

Zarówno eksportacya zwłok ś. p. prof. Butkowskiego na dworzec we Lwowie, jak i pogrzeb w Krakowie stały się imponującą manifestacyą żałobną.

Po wyniesieniu trumny z domu żałoby, przed którym przemawiali ks. Szukalski (imieniem kolegów zmarłego), dyr. Szczurkiewicz i p. Góralski (imieniem byłych uczniów) ruszył olbrzymi kondukt pogrzebowy. Pochód otwierała młodzież zakładów żeńskich, dalej szły gimnazya, szkoły realne, młodzież seminaryum nauczycielskiego, organizacye narodowe, delegacye Tow. nauczycieli szkół wyższych, Pol. Tow. Pedągogicznego i Tow. pol. nauczycieli szkół m. Lwowa i t. d. Długi szereg duchowieństwa, wśród którego byli katecheci wszystkich szkół, poprzedzał trumnę, którą przez całe miasto niosła młodzież na swych barkach.

Już o zmierzchu kondukt zatrzymał się przed dworcem, gdzie stał wagon, przygotowany na przyjęcie zwłok. Tutaj przemówił prof. Ignacy Zakrzewski i prof. Sokalski, poczem trumnę wniesiono do wagonu...



Zamordowanie polskiego profesora we Lwowie: Gmach seminaryum im. Piramowicza, gdzie zamordowano ś. p. prof. Butkowskiego.

Równie imponującą manifestacyą był pogrzeb ś. p. prof. Butkowskiego w Krakowie. Przed dworcem o godz. 4 oczekiwały przybycia zwłok niezliczone tłumy. Po przemówieniach prof. Morawieckiego i prof. Morelowskiego wyruszył żałobny pochód. Przed trumną niesiono mnóstwo wieńców, a wśród nich zwracał uwagę wieniec, niesiony przez włościan, z napisem: „Męczennikowi — rodacy". Za trumną, którą na cmentarz Zwierzyniecki poniosła młodzież lwowska, postępowała liczna rzesza publiczności, wśród szpaleru tłumów, zalegających wszystkie ulice, któremi przechodził orszak pogrzebowy...

Na cmentarzu zwierzynieckim pożegnał zmarłego gorącemi słowy prof. Sokalski, poczem przy dźwiękach pieśni żałobnych, zwłoki ś. p. prof. Butkowskiego złożono na wieczny spoczynek. W ziemi krakowskiej spoczęły prochy nowej ofiary ukraińskiego zaślepienia — żegnanej z żalem przez całe społeczeństwo polskie...

Rodzina zamordowanego otrzymała z całego kraju dowody głębokiego współczucia.

Illustracye nasze przedstawiają szereg zdjęć z pogrzebu ś. p. prof. Bułkowskiego oraz podobiznę zamordowanego i mordercy.

Konferencya nauczycielstwa okręgu krakowskiego.

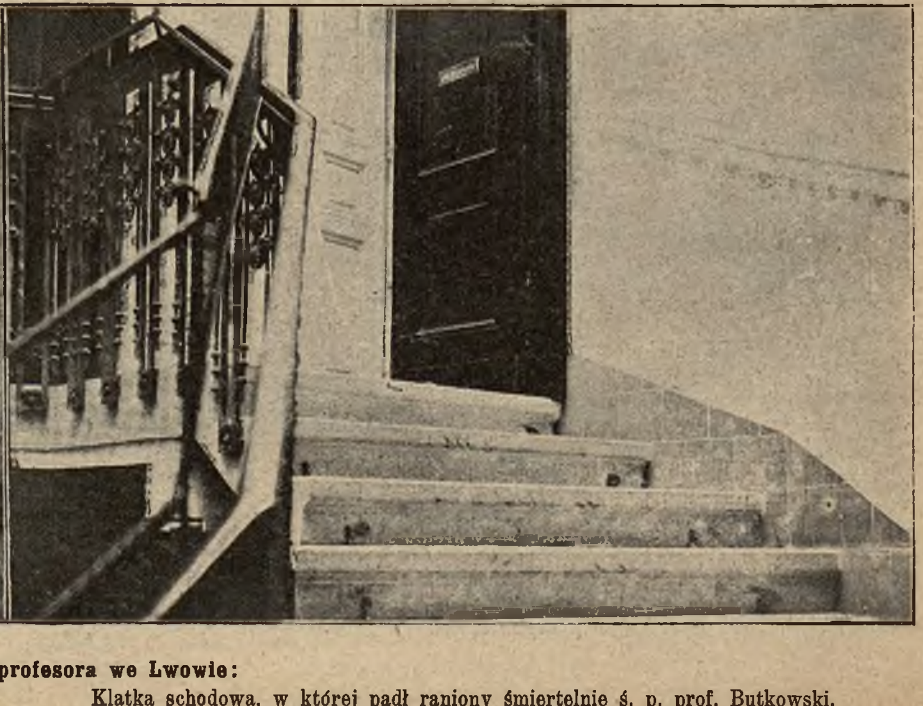
Bardzo dzielnym środkiem pedagogicznym, który ułatwia nauczycielstwu wzajemną wymianę myśli i spostrzeżeń, są peryodycznie odbywające się konferencye okręgowe. Porusza się na nich najżywotniejsze tematy i poddaje wyczerpującej dyskusyi.

Tego rodzaju zebranie nauczycielstwa okręgu krakowskiego miejskiego odbyło się w ubiegłą sobotę w auli szkoły im. Franciszka Józefa pod przewodnictwem inspektora Dobrzańskiego.

Odbiegło ono o tyle od dotychczasowych, iż poruszono tylko kwestye praktycznego wychowania. Przedmiotem obrad była nauka zręczności, oraz nauka gospodarstwa domowego i gotowania. Pierwszą kwestyę referował p. Orszulski, drugą pp. Barańska i Makolondrzanka.

Po uchwaleniu odpowiednich rezolucyi wybrano delegatów na krajową konferencyę w osobach pp. Nowaka i Majewiczówny i zakończono zjazd wspólną fotografią...





Zamordowanie polskiego profesora we Lwowie:
Klasa seminaryum im. Piramowicza, w której zamordowano ś. p. prof. Butkowskiego. Klatka schodowa, w której padł raniony śmiertelnie ś. p. prof. Butkowski.





ARTUR GRUSZECKI

POD CZERWONYM WIRCHEM

17

Że spotka się ze swym najbliższym sąsiadem, panem Borowieckim, prawie się cieszyła i z całą ufnością nietylko przyjmowała jego usługi i grzeczności, ale w razie potrzeby wprost o nie prosiła. Jego spokój, równowaga i stały ton przyjaźni udzieliły się i jej w stosunku z nim, i miała do niego takie zaufanie, że często pytała go o radę, czy ma wyjść, jak się ubrać, czy daną rzecz kupić na miejscu, czy też sprowadzić z Krakowa.

Dawniejsze jej życie, na wsi, przy mężu, zdawało się jej ciężkim, bolesnym snem, ciemnicą bez światła i powietrza, z której wyszła na świat jasny, promienny, przepiękny. Usilnie odsuwała od siebie wszelkie wspomnienia domu, o jednej tylko Ninsce myślała często z rozczuleniem, i chwilami opanowywała ją tęsknota i pragnienie ujrzenia jej.

Gdy jednak, uprzytomniając sobie Ninkę, w obrazie tym zobaczyła męża, dom, służbę, nawet Ninki urok się zmniejszał i nie chciała jej widzieć za cenę powrotu do obowiązków żony.

Stosownie do przyrzeczenia pisywała do męża raz na tydzień. Pierwszy list napisała na dwóch stronach małego arkusika; drugi na jednej stronie, a dalsze ograniczały się na kartkach korespondencyjnych z widokami, na których zaledwie dało się pomieścić parę zdań, że jest zdrowsza i co słychać z Ninką i z ciocią.

Natomiast listy męża, z początku były pisane w tonie kronikarskich zapisków, gdzie był, co robił, jakie zdrowie Ninki, ciotki i pewne szczegóły z gospodarstwa domowego i folwarcznego.

Żona odczytywała je, opatrując w myśli każdy podany szczegół dopiskiem goryczy i żalu do niego.

Stopniowo listy jego stawały się coraz bardziej czułe, pełne wspomnień szczęśliwych chwil dla niego, tęsknoty do ujrzenia jej w domu, który stał się dla niego odludną pustką, cmentarzem minionego szczęścia.

Te listy nietylko ją nudziły, ale sprawiały wielką przykrość: z niechęcią je otwierała i przebiegłszy oczyma, rzucała do walizy. Uważała je za typowe okazy obłudy i fałszu. Skrzywdził mnie, sponiewierał, odarł ze wszystkiego, co piękne i czyste, a teraz pod wpływem zmysłowych pragnień, niby to tęskni, oświadcza się z miłością i z uwielbieniem. Uśmiechała się z ironiczną wyższością nabytego doświadczenia, powtarzając w myśli: teraz mnie nie złowisz na czułe słowa; teraz nie jestem już głupią dziewczyną, która ci wierzyła i ufała.

I stawały przed nią wszystkie prawdziwe i urojone krzywdy, rosła gorycz, wzmagał się żal do męża i normalnie, każdy taki list pani Wanda jeśli nie odchorowała, to chodziła chmurna, przygnębiona i widziała wszystko i wszystkich w czarnych kolorach.

Na te listy odpowiadała tylko w ten sposób, że umieszczała frazes: dziękuję ci za ostatni twój list.

Doznając tak niemiłych wrażeń, a nawet pogorszenia zdrowia tylko po przeczytaniu listu od męża, przyszła do przekonania, że całą jej chorobę spowodował mąż i że jeśli ona chce żyć i być zdrową, musi się z nim rozwieść lub wziąć separacyę.

Napróżno mąż zaklinał ją w najczulszych słowach, ażeby odpowiedziała mu listem długim i szczerym, uśmiechała się na to żądanie ironicznie i ze złośliwem zadowoleniem pisała do ciotki obszerny list, dopytując się o wszelkie szczegóły co do zdrowia, zabaw, ubiorów Ninki, i tylko dla przyzwoitości pozdrawiała męża.

Jednego dnia, gdy otrzymała list od męża i swoim zwyczajem z uśmiechem lekceważącym rzuciła nań okiem, wpadły jej w oczy słowa:

„Domyślam się, że z twojem zdrowiem musi być znacznie gorzej, a Ty przez wrodzoną Ci szlachetność i miłość dla mnie ukrywasz, ażeby mnie nie martwić. Przez dłuższy czas wmawiałem w siebie, że Zakopane Ci służy, ale teraz taki niepokój mnie ogarnął, taki strach zdjął, że Ty ciężko chorujesz, i to sama, w obcem miejscu, że może mnie wzywasz w gorączce, a nikt Ci wody nie poda, że postanowiłem pojechać do Ciebie. Już byłbym u Ciebie, ale z obawy, że moje nagłe pojawienie się może wpłynęłoby źle na twoje zdrowie, i Ty, tak skłonna do obaw, przypuszczałabyś, że coś okropnego stało się w domu, piszę ten list. Zamów więc pokój dla mnie, o ile można w twojem sąsiedztwie, a na przyszły tydzień w środę ujrzę nareszcie Ciebie...“

Pani Wanda pobladła, list wypadł jej z ręki, łzy potoczyły się z oczu, usiadła, a gdy pierwsze oburzenie i poryw gniewu spłynęły ze łzami, zaczęła się zastanawiać, co ma teraz począć.

Najpierw błysnęła jej myśl wyjazdu, ucieczki, schronienia się w jakiemś nieznanem ustroniu, ale rozumowała dalej, że mąż zacznie jej szukać, da znać policyi, żandarmeryi, zrobi się skandal. I coby na to powiedział Borowiecki, pan Jedliński, jaki temat miałyby wszystkie panie do rozmowy, jak byłaby obmawiana i nicowana... nie, wyjazd jest niemożliwy.

Jednak taką samą niemożliwością jest przyjazd męża tutaj. Na to ona nie może pozwolić. Czuje przecież doskonale, że przyjazd jego nietylko unicestwi dotychczasowe dobre skutki kuracyi, ale przyprawi ją o recydywę, która bywa niebezpieczniejsza od samej choroby.

Naturalnie usiadłby przy stole obok niej, rozmawiałby głośno, rubasznie, śmiałby się z konceptów złośliwych starego Manieckiego, traktowałby ją jako swoją niepodzielną własność i odepchnął od niej wszystkich przez zazdrość niską i brutalną.

I co pomyślałby o niej Borowiecki, taki subtelny, wytworny, widząc, jakiego ona ma męża, komu oddała swe serce i rękę. On przecież nie wie, że to małżeństwo, ten mąż, jest tragedyą jej życia.

Dlaczegóż ona nie spotkała takiego Borowieckiego, gdy była dziewczyną niewinną? Zaczęła snuć marzenia, jak inne, odmienne, rozkoszne byłoby życie z takim, jak Borowiecki.

Wtem spojrzała na zegarek, pora obiadowa już się zbliżała, a ona jeszcze nieubrana, teraz bowiem schodziła na obiady w innej sukni, a przebierała się w inną na kolacyę lub wycieczkę. Ubierając się obliczała czas, dzielący ją od przyjazdu męża.

Dziś jest czwartek, zatem sześć dni do przyjazdu męża, list zaś dochodzi na miejsce za trzy dni, ma więc dosyć czasu na obmyślenie go.

Posłyszała dzwonek obiadowy w chwili, gdy stała przed lustrem, starając się nadać swej twarzy wyraz zwykłej uprzejmości i spokoju, co, jak jej się zdawało, osiągnęła.

Gdy jednak zeszła na dół i zobaczyła rozjaśnione i wesołe twarze pań i panów, jakkolwiek już wiedziała, że są to miny i ruchy na pokaz więcej, aniżeli odzwierciedlające istotny nastrój, pomyślała nie bez goryczy, że nikomu w tem towarzystwie nie grozi tak wielka przykrość, jak jej, i na wyrazistej jej twarzy osiadł smutek i zniechęcenie.

Pierwszy podszedł do niej pan Borowiecki i powiedział ze współczuciem:

— Spotkała panią jakaś nieprzyjemność... a może dziś czuje się pani gorzej?

— Nic wielkiego, — uśmiechnęła się z przymusem, — to chwilowy nastrój.

Z siłą woli nadawała swej twarzy wyraz uprzejmości i swobody.

Jednak w czasie obiadu ten przyjazd męża zaczął ciążyć nad nią, jak miecz Damoklesa. Nasuwały się jej coraz gorsze, groźniejsze następstwa. Jak grzyby po deszczu wyrastały przeróżne obawy. Te panie, spojrzała na sąsiadki, nie zaniedbają przed mężem robić złośliwych aluzyi o jej powodzeniu u mężczyzn, zwłaszcza co do Borowieckiego i Jedlińskiego. Ona wprawdzie niema sobie nic do zarzucenia i nie myśli usprawiedliwiać się z plotkarskich zarzutów, ale on, taki podejrzliwy i zazdrosny, napewno zrobi jej scenę, zechce zabrać ją z zakładu, naturalnie to się rozniesie i ona będzie skompromitowana.

Możliwe jest także, że mąż ostro przemówi się z Jedlińskim lub Borowieckim i może przyjść do pojedynku, ran, kalectwa, a wszyscy ogłoszą ją jako kokietkę, która spowodowała te nieszczęścia.

Jeszcze raz powtórzyła w myśli, że przyjazd jego jest niemożliwy, ale w jaki sposób ona go powstrzyma? A jeśli list nie dojdzie na czas? a jeśli zaginie na poczcie?

A gdyby i doszedł, czy on usłucha? I co mu napisać? Jaki powód podać? Jeśli go będzie prosiła o odłożenie przyjazdu, to właśnie rozbudzi jego podejrzenia i przyjedzie. Jeśli zasłoni się chorobą, przyjedzie przez swą głupią troskliwość.

Takie trwogi, takie wątpliwości ją opadły i tak męczyły, że twarz jej mieniła się, uczuwała to gorące poty, znów zimne dreszcze, co zwróciło uwagę nietylko dwóch panów, ale i pań, które z czułemi minami dopytywały się o jej zdrowie.

Nareszcie skończył się obiad, a zaniepokojona Ryta zbliżyła się i spytała:

— Co ci jest Wandziu?

— Jestem bez humoru, nic więcej, pójdę do siebie i minie.

— O nie! Zostań Wandziu z nami, zabawisz się, rozruszasz, sama mi mówiłaś, że w chwilach rozstroju unikasz samotności.

Pani Wanda nie chcąc dawać pozorów, że jest chora, wprawdzie niechętnie, ale została i obie z Rytą usiadły w zacisznym kąciku salonu. Wkrótce zbliżyli się do nich panowie i wszczęła się zwykła, dość banalna rozmowa, w której pani Wanda prawie nie brała udziału, a pan Jedliński został odwołany. Gdy wyczerpał się temat, po krótkim milczeniu spytała Ryta:

— Przyznaj się Wandziu, pewno miałaś nieprzyjemny list?

— A ty skąd wiesz?

— Widziałam, jak niesiono list do twego numeru, i twój brak humoru przypisuję listowi. Czy zgadłam?

— Istotnie tak jest, — i nagle błysnęła jej myśl poradzenia się Ryty, a raczej spytania jej, co zrobiłaby ona w tym wypadku. — Jeden z dalszych sąsiadów... kuzyn mego męża... człowiek starszy wybiera się odwiedzić mnie tutaj.

— No, nie masz się czem martwić, — zaśmiała się Ryta, — przyjedzie, zobaczy, znudzi się i wyjedzie.

— Łatwo ci mówić, ale on jest nudny, ciekawy... i niedyskretny. Jestem pewna, że tylko dlatego przyjeżdża, ażeby nowiny o mnie rozwozić po całym powiecie.

— O, to niemiła rzecz... Napisz mu, że nie chcesz, że chora jesteś i koniec.

— Nie... to nie wypada, — spojrzała z niemem zapytaniem na pana Borowieckiego, który to zrozumiał i rzekł:

— Panna Ryta rozcina węzeł, — uśmiechnął się, — czasem jednak lepiej rozplątać... nie zawsze dobrze rozrywać węzły rodzinne.

— A co pan radzi? — spytała Ryta.

— Dość spojrzeć na panią Jerzycką, aby spostrzedz, jakie złe wrażenie sprawił list, i na miejscu pani Jerzyckiej, poszedłbym do doktora i spytał, czy oczekiwany przyjazd nie zaszkodzi dalszej kuracyi. Stosownie do odpowiedzi doktora pani Wanda odpisze, dajmy na to, bardzo uprzejmy list odmawiający, powołując się z czystem sumieniem na opinię doktora.

— Wyborny sposób, — zachwycała się Ryta.

— Tak... dziękuję panu, — zarumieniła się pani Wanda, ucieszona, ale i trochę zawstydzona, że przed nim skomponowała bajeczkę o kuzynie, — posłucham rady, chociaż uczuwam wyrzuty sumienia, że odtrącam dobre chęci... kuzyna.

— Może doktor pozwoli... i zyskamy nowego towarzysza... Właśnie doktor idzie przez salę, czy mam go poprosić?

— Nie! Dziękuję, sama pójdę, — wstała, a widząc, że doktor idzie do gabinetu porady lekarskiej, kazała się zameldować.

Doktor z przyjaznym i przyjemnym uśmiechem spytał:

— Jak pani zdrowie? Zauważyłem brak humoru, zasępienie...

— Istotnie, zaniepokoiły mnie pewne objawy i przyszłam do pana doktora.

— Jakie objawy?

— Nagłe bicie serca... trudność oddychania... i lęk przed wszystkiem.

— Hm... no, a przyczyna jaka?

— Otrzymałam list, — i powtórzyła historyę o kuzynie, a kończyła: — chciałam spytać pana doktora, czy przyjazd tej osoby nie wpłynie ujemnie na przebieg kuracyi? Wprawdzie byłoby mi przyjemnie widzieć kuzyna, ale jeśli to ma zaszkodzić...

— Proszę pani, — przerwał jej doktor, — tu niema dwóch zdań. Pani szkodzą wszelkie wzruszenia silniejsze i jeśli sam list spowodował lekkie zaburzenie nerwowe, to jako lekarz sprzeciwiam się bardzo stanowczo podobnym wizytom... Obecność tej osoby może sprowadzić niepożądane komplikacye w stanie zdrowia pani, który jest na drodze korzystnej poprawy.

— Ale... kiedy mi może nie wypada odmawiać.

— Co to nie wypada, gdy idzie o zdrowie! — powiedział surowo, — może pani napisze do męża, i on to załatwi.

— Ach, nie! Mąż mógłby to żądanie moje uważać za objaw chorobliwy, zaniepokoiłby się... zmartwił...

Doktor rzucił błyskawiczne spojrzenie na nią i rzekł z tą samą uprzejmością:

— Niech się pani na mnie powoła, a jeśli pani sobie życzy, napiszę do niego...

— Nie! Nie!... Sama to zrobię i dziękuję panu doktorowi za poradę.

Odprowadził ją do drzwi, a zamykając za nią, uśmiechnął się ironicznie do swych myśli, że może te kobiety, opowiadające o jej kokieteryi i flirtach, mają racyę, bo dlaczegóż nie chce wizyty „niedyskretnego“ kuzyna?

Pani Wanda już nie powróciła do salonu, lecz korzystając z nastroju po wizycie lekarskiej, postanowiła napisać list do męża.

Zamknęła drzwi na klucz, zdjęła suknię, ubrała się w szlafroczek turecki i zasiadła do pisania. Zdawało się jej, że natychmiast napisze list, gdyż w uszach miała ton surowy doktora i jego stanowczy zakaz.

Siedziała już kilka minut z piórem w ręku i nie mogła się zdecydować na ton listu. Nie może przecież pisać szorstko; a mierziły ją udane czułości... ale ostatecznie napisać musi, i z prawdziwym wysiłkiem i niechęcią napisała:

„Kochany Michasiu!“

Zobaczywszy te słowa, odrzuciła pióro, zmięła papier i syknęła:



Wyciągnąwszy się wygodnie na fotelu, wyobrażała sobie, że mąż odczytuje ten list.

— Nie! To podłość tak kłamać...

Zaczęła pisać bez tytułu i podarłszy kilka arkusików, po trzech godzinach prawdziwej, mozolnej pracy, skleiła wreszcie brulion listu. Z uczuciem ulgi odetchnęła, położyła pióro i wyciągnąwszy się wygodnie na fotelu, wyobraziła sobie, że mąż odczytuje ten list, a chcąc zbadać wrażenie, czytała półgłosem:

„Twój list serdeczny otrzymałam dzisiaj przed obiadem. Zrobił on na mnie silne wrażenie szczerością uczucia, to jednak miłe nawet wrażenie odbiło się niekorzystnie na mojem zdrowiu, co zauważyły panie przy obiedzie, nawet doktor, i radziły mi udać się do gabinetu doktorskiego. Ty znasz ten nasz światek w zakładzie, nie mogłam tedy powiedzieć, że twój list wywołał takie wrażenie, ale że mój kuzyn blizki donosi mi w liście o swym przyjeździe. Gdybym bowiem powiedziała była o tobie, zaczęłyby się niemiłe domysły o naszem pożyciu, a tego chyba oboje nie lubimy, wolałam minąć się z prawdą, a raz zabrnąwszy, musiałam tę bajkę powiedzieć zaniepokojonemu doktorowi. Powtarzam ci dosłownie jego słowa: Wszelkie silniejsze wrażenia, nawet miłe, są w tem stadyum kuracyi szkodliwe dla pani, mówił on i dalej, że przyjazd nawet miłej osoby sprowadzi komplikacye, że stanowczo zabrania wszelkich odwiedzin i chciał sam napisać o tem...

Ja czuję się znacznie lepiej, ale jeśli sama zapowiedź naszego spotkania wywołała niekorzystną zmianę, jeśli doktor stanowczo zabrania wizyty twej pod grozą komplikacyi i recydywy, więc ze względu na moje zdrowie, uzbrój się w cierpliwość, a skoro tylko doktor pozwoli, sama ci napiszę, ażebyś mnie odwiedził...“

Skończyła czytanie brulionu i zadowolona ze siebie uśmiechnęła się. Jeśli on mimo tego listu, rozmyślała, przyjedzie tutaj, da nietylko dowód, że moje zdrowie nic go nie obchodzi, ale że pragnie mej śmierci.

Spojrzała na zegarek, godzina piąta, ma dość czasu, ażeby list napisać i oddać dziś na pocztę.

Odezwało się lekkie, dyskretne dwukrotne pukanie do drzwi. Pani Wanda poznała, że to Ryta, że jednak leżały na stole podarte arkusiki rozpoczętego listu, i chciała jak najprędzej przepisać brulion, zawołała po przez drzwi do Ryty:

— Przepraszam cię... głowa mnie boli, zażyłam pyramidon i odpoczywam na sofce... nie mogę się ruszyć.

— Czy będziesz Wandziu na kolacyi?

— Naturalnie.

Zastanawiała się przez chwilę, gdy przyszło do umieszczenia nagłówka, ale wysiłek napisania listu tak stępił siłę jej oporów uczuciowych, że umieściła prawie bez wahania słowa uświęcone zwyczajem: kochany Michasiu.

Dopisała kilka pytań o Nince, ciotce i prosiła o przysłanie pieniędzy, bo zostawione są już na schyłku. Właściwie miała jeszcze w kasie zakładu około pięciuset rubli i żądając nowych pieniędzy, dała tylko folgę swej obawie, iż jeśli zabraknie pieniędzy, co ona wówczas zrobi.

Ubierając się, rozmyślała, komu poleci oddanie listu na pocztę. Jeśli odda służącemu, ten może pokazać list komukolwiek z zakładu. To się rozniesie, zaczną dochodzić, skąd i dlaczego taki pośpiech, ażeby dziś, wieczorem list odsyłać, a widząc adres do męża, mogą się domyślić, że ów rzekomy kuzyn, to jej mąż. Sama odda ten list, nawet Ryty nie weźmie ze sobą, gdyż byłoby to wprost wtajemniczaniem jej w tą tak poufną sprawę.

Z zakładu musi się jednak tak wymknąć, ażeby jej nie spotkał Borowiecki, Jedliński lub która ze znajomych pań. Zawołała numerową i kazała znieść futerko i toczek z ładnem czaplem piórem na dół do poczekalni. Numerowa wysłuchawszy rozkazu, spojrzała na nią zdziwiona i pani Wanda czuła się w obowiązku powiedzieć:

— Może zechcę się przejść, a schody mnie męczą.

— Słucham jaśnie pani, — zabierała rzeczy, — pan doktor zawsze zaleca spacer przed obiadem lub kolacyą.

Naturalnie wcale nie wierzyła, że pani Wanda chce się przejść wieczorem, lecz podejrzywała ją o jakąś tajną schadzkę, i wieszając futerko w poczekalni, powiedziała portyerowi:

— Uważaj pan też, z kim to pójdzie pani Jerzycka.

— Albo ona wychodzi pod noc? — zdziwił się.

— Tak jest, — uśmiechnęła się zagadkowo.

— No! no! — mrugnął do niej oczyma porozumiewawczo.

Pani Wanda zeszła najpierw do salonu, zajrzała do czytelni i wreszcie zwolna przeszła przez hallę do poczekalni.

Portyer, widząc ją gdy brała futerko, pospiesznie pomagał i spytał:

— Czy jaśnie pani każe saniom podjechać?

— Nie, wyjdę pieszo.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ojcowie Krakowa przy pracy.

Rada miasta Krakowa miała w ubiegłym tygodniu gorącą pracę. Przez trzy dni radzono energicznie nad budżetem, a w szranki dyskusyi wystąpili wszyscy ci, którym dobro miasta leży na sercu. Sprawa budżetu Krakowa od szeregu lat stanowi poważną troskę ojców miasta, które rozwija się w bardzo szybkiem tempie, a rozrost ten powoduje także wielki wzrost wydatków. Wzniesiono szereg wspaniałych budowli, powstały nowe zakłady miejskie, słowem Kraków zaczyna pod względem urządzeń rywalizować z wielkimi miastami europejskiemi.

Ojcowie miasta stają jednak na tem stanowisku, że mimo nowych inwestycyi, należy unikać większych ciężarów. To też rozwiązanie tego problemu stanowiło w tym roku główny temat dyskusyi. Przy sposobności poruszono także szereg spraw z zakresu polityki miejskiej i krajowej, podniesiono nowe myśli i rzucano wielkie plany.



Ojcowie Krakowa przy pracy: Budżetowe posiedzenie krakowskiej Rady miejskiej.

Dyskusya budżetowa w Radzie krakowskiej ma już ustaloną tradycyę szerokiej rozprawy o horyzoncie, obejmującym nie tylko interesy miasta, ale także całego kraju.

W tym roku również była taką, a wybitne mowy wygłosili prezydent dr. Leo, poseł Bandrowski, ks. dr. Caputa, pos. Daszyński, rad. Peroś i inni. Illustracya nasza przedstawia salę obrad w czasie pierwszego dnia dyskusyi podczas mowy posła Bandrowskiego. Zdjęcia dokonano z loży dziennikarskiej w bardzo trudnych warunkach technicznych.

Przeniesienie urzędnika-obywatela.

Utarło się u nas mniemanie, że karyera urzędnika wpływa w ten sposób na tych, którzy się jej poświecają, iż czują się obcymi społeczeństwu, wśród którego pracują.

Być może, że tak było ongiś, gdy kasta urzędnicza w Galicyi rekrutowała się z pomiędzy napływowej, a obcej nam pochodzeniem i mową ludności. Dziś dzięki Bogu zmieniło się wszystko na lepsze. Nasi urzędnicy czują się także obywatelami i chętnie biorą udział w każdej pracy społecznej.

Do rzędu takich gorliwych pracowników, tych prawdziwych urzędników-obywateli, których nazwiska powinny być z uznaniem zapisane na karcie dziejów naszego narodowego i ekonomicznego rozwoju w ostatnich czasach, należy bezsprzecznie p. Jan Traciłowski, dotychczasowy naczelnik filii Banku austryackiego w Stanisławowie, przeniesiony do Krakowa na stanowisko naczelnika tamtejszej filii. Pan Traciłowski pozostawił po sobie w Stanisławowie pamięć wielce zasłużonego pracownika na polu pracy narodowej i społecznej, sprawiedliwego i sprężystego naczelnika poważnej instytucyi finansowej, znakomitego znawcy spraw i stosunków pieniężnych i kredytowych w mieście i okolicy.

Nie goniąc za tanią a krzykliwą popularnością, brał udział i żywo interesował się sprawami publicznemi, ciesząc się wszędzie dla swej uprzejmości i uczynności szacunkiem i sympatyą.

Także i małżonka pana Traciłowskiego przez czas pobytu w Stanisławowie dała się poznać jako gorliwa pracowniczka na niwie społecznej.

Dowodem uznania i sympatyi, jaką darzono pp. Traciłowskich w grodzie Rewery, było serdeczne, prawie owacyjne pożegnanie przez miejscową inteligencyę i prasę, która w ten sposób odzywa się o odjeżdżającym:

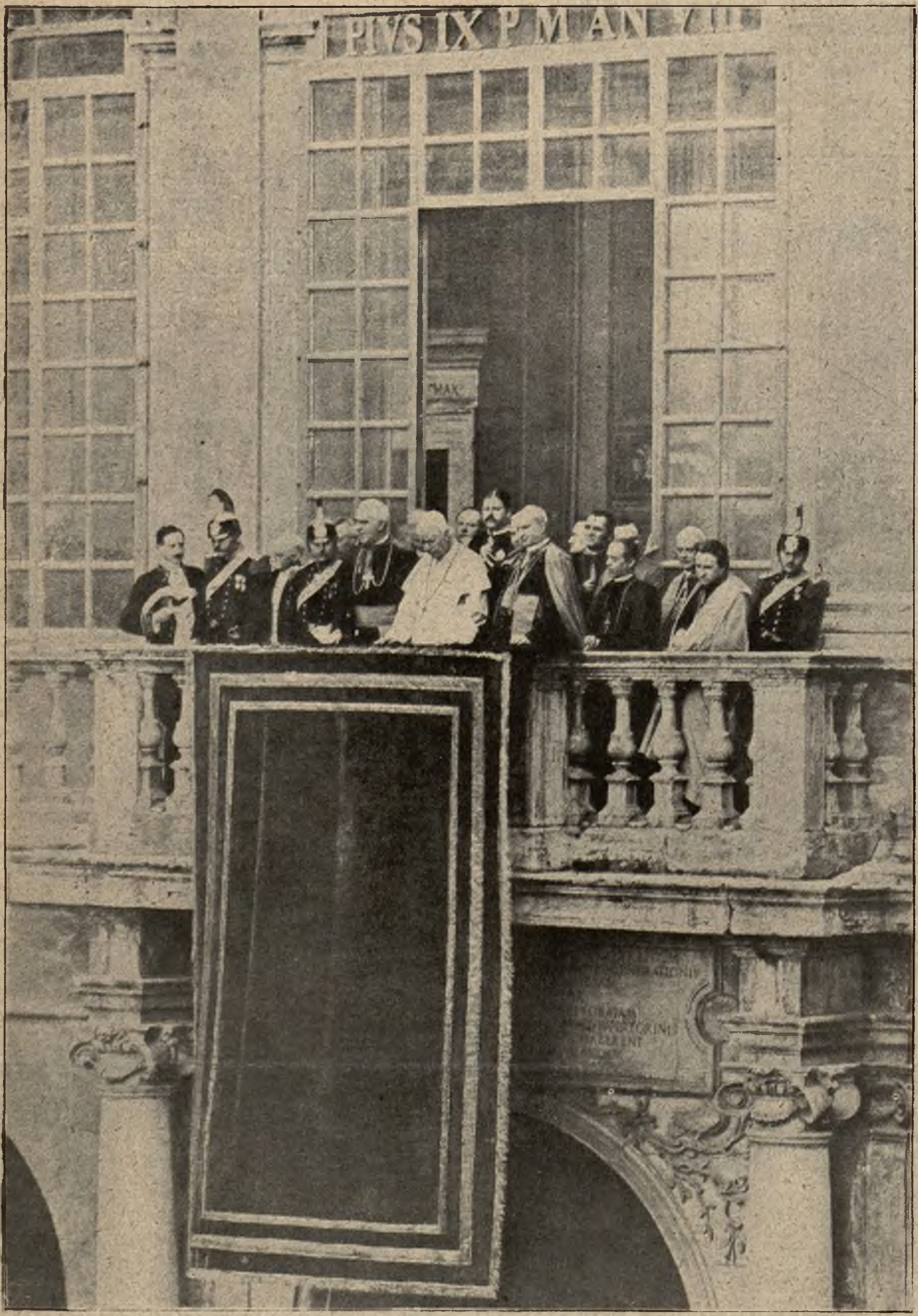
„Miastu naszemu ubywa jednostka wysoko wybijająca się swemi zaletami obywatelskiemi i towarzyskiemi ponad przeciętny ogół, żyjący przeważnie w małomiejskiem zacietrzewieniu".

Jubileusz dyrektora Ossolineum.

W uroczysty sposób uczczono ubiegłego tygodnia 40 letnią pracę dyrektora zakładu rządowego im. Ossolińskich, dr. Wojciecha Kętrzyńskiego. Współpracownicy tej instytucyi naukowej z kuratorem Andrzejem ks. Lubomirskim złożyli hołd jego pracy niespożytej, przyczem w serdecznych słowach prze-



Dla zdrowia przyszłych pokoleń: Ks. Nowakowski przemawia do pierwszych pensyonarzy kolonii letniej dla dzieci w Rembertowie pod Warszawą.



Pius X. po chorobie: Papież ukazuje się zgromadzonym tłumom na balkonie dziedzińca św. Damazego.

mówił ks. Lubomirski, wręczając jubilatowi medal, ofiarowany przez cesarza za 40 letnią służbę. Kustosz dr. Bronisław Czarnik, który także obchodził jubileusz 30 letniej pracy w Ossolineum, przemówił równie gorąco do jubilata i wręczył mu piękny album z fotografiami wszystkich członków zakładu, wreszcie stypendysta p. Leopold Worosz wręczył jubilatowi bukiet z szarfami.

Dr. Kętrzyński, po ukończeniu uniwersytetu w Królewcu, gdzie otrzymał doktorat filozofii, wstąpił przed 40 laty do Zakładu Ossolińskich, gdzie początkowo piastował godność sekretarza, kustosza,



Jubileusz dyrektora Ossolineum: Dr. Wojciech Kętrzyński.

a od r. 1876 godność dyrektora zakładu. Jubilat wydał sporo prac naukowych, a dla zakładu położył wielkie zasługi.

Pius X. po chorobie.

Przed kilku tygodniami telegramy rozniosły po świecie wiadomość, że Ojciec św. Pius X. ciężko zachorował. Znużenie pracą i za małe szanowanie się przy tylu obowiązkach spowodowały, że Pius X. zapadł na influenzę. Zdawało się, że słabowity organizm Ojca św. nie przetrzyma ciężkiej choroby. Przez kilka tygodni cały świat katolicki w naprężeniu oczekiwał, czy uda się Ojca św. uratować. Ostatecznie jednak przesilenie przeszło i Ojciec św. wrócił już do zdrowia.

Od kilku dni rozpoczęło się w Watykanie normalne życie pracy. Znowu tysiące pątników spieszą do stóp stolicy Piotrowej, znowu sale Watykanu są przepełnione, a Ojciec św. rozpoczął udzielanie zwykłych audyencyi. Posłuchania te dzielą się na dwojakie. Jedne, publiczne, udzielane są bądź w wiel-



Przeniesienie urzędnika-obywatela: Przedstawiciele m. Stanisławowa żegnają na dworcu p. Jana Traciłowskiego (X), mianowanego naczelnikiem filii Banku austro-węgierskiego w Krakowie.

kich salach, bądź też na jednem z dziedzińców Watykanu, drugie zaś, prywatne, udzielane są w pokojach mieszkania Papieża.

Illustracya nasza przedstawia chwilę, kiedy na





Uroczystości w Piotrkowie:
Komitet Stow. rzemieślników i handlowców podczas poświęcenia nowego gmachu. Ks. biskup Zdzitowiecki przed nowym gmachem Stow. rzemieślników i handlowców. (Fot. Z. Majcherski, Piotrków).

przyjęcie wielkiej pielgrzymki Ojciec św. ukazuje się zgromadzonym tłumom na balkonie dziedzińca św. Damazego.

Poświęcenie sztandaru w Łańcucie.

W dniu 8 czerwca b. r. odbyła się w Łańcucie piękna uroczystość poświęcenia sztandaru funkcyonaryuszy kolei państwowej z przestrzeni Łańcut-Rogożno, grupujących się w „Bractwie Najświętszej Maryi Panny, Królowej Korony Polskiej“.

Ceremonii poświęcenia dokonał przemyski biskup sufragan, ks. Fiszer.

Na uroczystość zeszły się tłumy publiczności z miasta i okolicy, które wypełniły po brzegi kościół parafialny i plac przed nim, miejscowy Sokół wystąpił ze sztandarem jak również miejscowe cechy i grupa kolejarzy z Przeworska. Bardzo miłe wrażenie robiły panienki z zakładu wychowawczego Sióstr Boromeuszek, przybrane w polskie stroje, oraz drużyna skautów. Przybycia ks. biskupa oczekiwało na dworcu kolejowym „Bractwo Najświętszej Maryi Panny, Królowej Korony Polskiej“ ze sztandarem i orkiestrą gimnazyalną.

Po krótkiem powitaniu przez miejscowego proboszcza, ks. kanonika Zauderera i prezesa towarzystwa p. A. Najkowskiego, ruszono w pochodzie do kościoła parafialnego. Po sumie, celebrowanej przez ks. biskupa, podczas której śpiewał chór uczniów gimnazyalnych, odbyła się właściwa uroczystość poświęcenia. Dokonał go ksiądz biskup, poczem w porywających słowach przemówił od ołtarza.

Nastąpiło wbijanie pamiątkowych gwoździ, które rozpoczął ksiądz biskup. Po nim wbijali rodzice chrzestni oraz przedstawiciele miejscowej i zamiejscowej intelligencyi.

Po ukończeniu ceremonii kościelnej na placu obok kościoła przemawiali kolejno p. Bogdan Krzysztofowicz imieniem Związku urzędników kolejowych, prezes Sokoła, dr. Józef Borowiec, starszy Bractwa, p. Aleksander Najkowski i ordynat przeworski, książę Andrzej Lubomirski.

Nastrój w czasie uroczystości panował nadzwyczaj podniosły.

Założenie Bractwa i sprawienie pięknego sztandaru, ufundowanego ze składek funkcyonaryuszy kolejowych i robotników, to zasługa p. Aleksandra Najkowskiego, który, mając szlachetny cel na oku, nie szczędził pracy i zabiegów, aby przezwyciężyć wszelkie trudności i przeszkody.

Rodzicami chrzestnymi byli: księżna Eleonora Lubomirska z Przeworska z c. k. radcą dworu i dyrektorem kolei państwowej ze Lwowa p. Stanisławem Rybickiem w pierwszą parę, oraz naczelnikostwo stacyi z Łańcuta, państwo Sulimirscy w drugą.

Uroczystości w Piotrkowie.

W tych dniach odbyła się w Piotrkowie piękna uroczystość: poświęcenie nowego gmachu Stowarzyszenia rzemieślników i handlowców, które w ży-



Poświęcenie sztandaru w Łańcucie: Grupa uczestników uroczystości: 1) ks. biskup Fiszer, 2) ks. Eleonora Lubomirska, 3) ks. Andrzej Lubomirski, 4) radca dworu Stanisław Rybicki, dyrektor kolei, 5) Adam Bal, starosta, 6) ks. kanonik Zauderer, proboszcz miejscowy.

ciu społecznem miasta odgrywa bardzo ważną rolę, skupiając najszersze sfery pracujące... To też uroczystość poświęcenia wspaniałej siedziby tego pożytecznego Stowarzyszenia stała się dla Piotrkowa prawdziwem świętem, które uświetnił swą obecnością ks. biskup Zdzitowiecki. Przybywającego pasterza powitały na dworcu niezliczone tłumy, które w uroczystej procesyi odprowadziły ks. biskupa Zdzitowieckiego do prastarej fary...

Po uroczystościach kościelnych ks. biskup przybył następnie do Stowarzyszenia rzemieślników i handlowców, powitany przez członków komitetu i liczne grono gości, wobec których ks. biskup Zdzitowiecki dopełnił poświęcenia nowego gmachu.

Illustracye nasze przedstawiają kilka momentów z tych pięknych uroczystości, które na długo pozostaną w pamięci mieszkańców Piotrkowa.



Uroczystości w Piotrkowie: Niezliczone tłumy w uroczystej procesyi odprowadzają ks. biskupa Zdzitowieckiego z dworca kolejowego do fary. (Fot. Z. Majcherski, Piotrków).

Pożegnanie kapłana-obywatela.

Jeśli ktoś chce pracować dla dobra ogółu, znajdzie pole do tej pracy choćby w najskromniejszych warunkach. Cóż dopiero mówić o pracy kapłana w jego parafii. Pole do pracy obszerne, a jeśli siejba rzucana jest ręką umiejętną i kierowaną miłością ludu, wtedy wydaje plon obfity, stokrotny. Tem żałośniej jest, gdy pracownik taki opuszcza swój posterunek, oddając prace przezeń rozpoczęte innym rękom i umysłom.

Z żalem żegnała parafia Mucharz koło Wadowic przed kilkunastu dniami swego kapłana, ks. Forysia. Pełen zapału, kapłan ten szedł w lud i pracował z ludem nad lepszą jego przyszłością. To też, gdy trzeba było rady, pomocy, aby założyć kółko rolnicze lub krzepić słowem żywem dusze, zawsze ksiądz Foryś stawał na posterunku gotów do poświęceń i do pracy.

Serdecznie też żegnano ks. Forysia. Odprowadziła go na dworzec banderya włościańska i wdzięczność wszystkich tych, którzy nieraz z jego pomocy korzystali.

W dzisiejszym numerze zamieszczamy jeden z momentów pożegnalnej uroczystości.

Dla zdrowia przyszłych pokoleń.

Największym skarbem człowieka jest niewątpliwie zdrowie. To konieczny warunek zarówno własnego szczęścia, jak i pożytecznej pracy dla innych. Każde społeczeństwo musi też dbać przedewszystkiem o zdrowie obywateli, bo naród fizycznie zdegenerowany nie może się normalnie rozwijać... Zwłaszcza musi dbać o zdrowie dzieci, z których wyrastają przyszłe pokolenia...

Niestety, warunki współczesnego życia w miastach, zwłaszcza wśród sfer najuboższych, oddają liczne rzesze dziatwy na pastwę chorób i fizycznej degeneracyi... Brak powietrza, brak światła, to najgroźniejszy wróg ubogich dzieci po miastach... Aby osłabić jego niszczycielską potęgę i ratować młode życia, stworzono, już dzięki ofiarności społeczeństwa, cały szereg kolonii letnich dla słabowitych dzieci.

W tych dniach powstała nowa taka instytucya pod Warszawą, mianowicie kolonia letnia „Jurasin" w Rembertowie, przeznaczona specyalnie dla wątłych dzieci, którym zagraża gruźlica.

Instytucya ta została powołaną do życia przez p. Hochową, która przed kilku laty straciła na gruźlicę wnuka Jurasia Rodysa. Powodowana współczuciem dla dzieci tak samo chorych, p. Hochowa uczciła pamięć zmarłego pięknym czynem i utworzyła kolonię w Rembertowie, którą wraz z odpowiednim funduszem oddała Tow. kolonii letnich.

Główną budowlę kolonii stanowi dom z dwiema salami, z których jedna przeznaczona dla dziewcząt, a druga dla chłopców. Ogółem w kolonii tej znalazło pomieszczenie 60 dzieci z pośród najmniej zamożnych sfer miasta Warszawy.

Aktu poświęcenia nowej kolonii dopełnił przed kilku dniami ks. prof. Nowakowski w obecności licznego grona gości, przybyłych na tę uroczystość z Warszawy.



Pożegnanie kapłana-obywatela: Uroczystość pożegnalna ku czci ks. Forysia, opuszczającego parafię Mucharz pod Wadowicami.

CLARK RUSSELL.

W ODMĘTACH OCEANU.

15

— Pójdę na pokład! — oświadczyła nagle Helga. — Ja najmniej mam powodów obawiać się. Zawsze odnosili się do mnie życzliwie, zresztą wiedzą, że ja znam się na prowadzeniu okrętu. Rozmówię się z mimi.

Zwróciła się ku drzwiom, wtedy chwyciłem ją za ramię i zatrzymałem.

— Zostaniesz tutaj, Helgo!

— Pozwól mi iść, Hugh! – prosiła, starając uwolnić się z moich rąk. — Jestem istotnie jedyną, która może mówić ze zbuntowanymi. Pozwól mi iść.

— Nie pozwól pan! — zawołał Abraham, który znowu odzyskał spokój, a wraz z nim zimne zastanowienie. — Bandyci zatrzymają ją jako zakładnika, poczem załatwią się z nami, a wtedy zostanie ona sama z całą tą bandą na okręcie.

W tej chwili zapukał ktoś cicho do drzwi. Miałem wrażenie, iż pukanie było jakby nieśmiałe. Przez drzwi padał promień światła.

— Kto tam? -- krzyknąłem, gotów skoczyć do gardła pierwszemu, który się ukaże. Krew wrzała mi w żyłach; uważałem bowiem to delikatne pukanie, to ciche podejście pod drzwi, za podstęp.

— Ja być panie! Otworzyc panie! *Allee richt!*

— To Nakir! — oświadczył Abraham.

— Nic nie bać się, panie! Nasza praca już zrobić! Chcemy z wami mówić i być wasi przyjaciele!

— Ilu was jest za drzwiami? — zapytałem.

— Nikt, tylko Nakir.

— Kto to może wiedzieć — zagrzmiał Abraham. — Boso łazicie, jak węże.

— Przysięgać, Nakir być sam. Pani musi wierzyć Nakir. Boicie się mojego noża. Cofnijcie się, ja rzucić go wam do środka.

Cofnęliśmy się kilka kroków i w tej chwili nóż wpadł przez górny otwór u drzwi prosto pod moje nogi. Skoczyłem ku niemu i podniosłem. Upuściłem go jednak natychmiast, gdyż w świetle latarni dostrzegłem przerażony, że był uwalany krwią.

— Daj mnie go pan — zawołał Abraham. — W moich rękach zakrwawi się jeszcze bardziej, jeśli te kanalie nas chcą podejść.

Trzymając nóż w ręce, odsunął rygle i otworzył drzwi. Moment ten był dla nas czemś wprost tragicznem. W duszach naszych przeżywaliśmy wszystkie te uczucia, jakie budzi przeświadczenie o bliskiem i strasznem niebezpieczeństwie. Byłem przygotowany na to, iż w otwartych drzwiach ukaże się banda ciemnych postaci, która rzuci się na nas.

Tymczasem kiedy drzwi odsłoniły głąb korytarza, ujrzeliśmy Nakira, który stał w głębi z lampą w ręce. Zobaczywszy nas, postawił światło na ziemi, aby nam oddać pokłon pozdrowienia.

Abraham wyjrzał przez drzwi i oświadczył, że nikogo więcej nie ma w korytarzu.

Twarz Nakira spoglądała na nas z zupełnym spokojem.

— Coście porobili? — zapytałem.

— Kapitan jest zabity — zabić go Pallunapachelly. — Sternik też jest zabity — zabić go ta ręka.

Podniósł rękę do góry.

— Gdzie mój towarzysz? – zagrzmiał Abraham.

— Nikt go nie ruszać. My tylko dwóch zabić — kapitana i Mister Jones. Oni nas traktować jak psów; my gryźć jak psy.

— Czego od nas chcecie?

— Chcemy z wami pomówić. My wszyscy przysięgać na koran, że nic wam nie zrobimy, tylko wam służyć, jeśli wy nam pomożecie.

Słuchałem, niezdecydowany.

— Możemy mu wierzyć, oni nas potrzebują — odezwała się za mną Helga, nabierając otuchy.

Nakir, który nas pilnie obserwował, spostrzegł moje wahanie się, wyciągnął ku nam ręce z gestem gorącej prośby i zawołał:

— My wszyscy przysięgać, że was nie ruszyć. Musicie nam wierzyć. Mr. Vise zostać kapitanem. Pan być pasażerem i żyć na górze jak pan sobie zechce. Młoda pani prowadzić okręt do Afryki. Nie! nie! wszyscy jesteśmy bezpieczni. Moi ludzie chętnie położyć na stole przed wami wszystkie swe noże i przysięgną, że zostaną waszymi przyjaciółmi.

— Pójdźmy z nim, panie Tregarthen — oświadczył Abraham — ale nóż na wszelki wypadek zatrzymam, dobrze Nakirze? Gdzie jest Jakób? Biada wam, jeśli który z was odważył się...

— Nie groź pan bez potrzeby, szepnąłem mu. Chodźmy, Helgo! Poświeć nam Nakirze, a Abraham z drugą latarnią niech idzie za nami.

W milczeniu doszliśmy do zapadni i jeden za drugim wyleźliśmy na pokład. Wiatr ucichł i nie wystarczał, aby wydać żagle na masztach. Obijały się też one po nich, a z daleka robiła cała rzecz wrażenie oddalonych salw armatnich.

W kajucie paliła się lampa, która oświetlała ciekawą scenę. Wokoło długiego stołu stała zgromadzona cała załoga, wszystkie zaś błyszczące oczy tych ciemnych postaci zwrócone były na nas. Fantastyczne ich zawoje leżały bezładnie na stole.

Pierwszy wszedł do kajuty Nakir, a za nim chciała odważnie wejść Helga. Wstrzymałem ją jednak za rękę i rzekłem, zwracając się do Nakira:

Ci ludzie są uzbrojeni.

W odpowiedzi na to Nakir krzyknął kilka malajskich słów ku zgromadzonym. Jakby na rozkaz wyciągnął każdy nóż z pochwy i położył go przed sobą na stole. Pnumeamootty zebrał wszystkie noże do czapki i przyniósł je Nakirowi, który złożył cały ten arsenał u stóp Helgi. Abraham dla demonstracyi rzucił do czapki także i swój skrwawiony nóż.

Nagle rozległ się nad nami krzyk:

— Hej! wy tam na dole!

— To Jakób — krzyknął Abraham, cofnął się kilka kroków i zaczął patrzeć w górę. — Hej Jakób! Gdzie ty się kryjesz, człowiecze?

— Tu na górze, na głównym maszcie — półżywy — brzmiała odpowiedź, która mimo rzekomo opłakanego stanu Jakóba była jednak wypowiedziana donośnym głosem.

- Bogu dzięki, że żyjesz! Teraz wszystko już jest w porządku.

— Tak, o ile w to wierzyć można!

— Może pan zejść na dół, Jakóbie — zawołałem ku niemu. — Niebezpieczeństwo minęło.

— Jakto minęło? Zabili sternika i wyrzucili do morza i gdybym na łeb na szyję nie był wylazł tu do góry, byliby ze mną to samo zrobili.

— Nie, nie, nie prawda! Zejdź Jakóbie! — wołał Nakir.

— Gdzie kapitan?

— W morzu — wszystko w porządku! — odpowiedział Nakir, którego spokój i czysto przedmiotowe traktowanie sprawy powiększało jeszcze grozę krwawej tragedyi.

— Proszę, zejdź pan nareszcie — przyłączyła się i Helga.

Powoli i ociężale opuścił się Jakób na dół po drabinie masztowej. Kiedy wreszcie skoczył na pokład, wybuchnął wściekle i zaczął wywijać pięściami pod nosem Abrahamowi.

— Czy nie mówiłem ci, że ta przeklęta historya z wieprzowiną może nas kosztować życie? Dlaczego trzymałeś gębę zamkniętą i nie sprzeciwiłeś się tej całej sprawie? Mogłem na górze z przerażenia umrzeć i wpaść do morza, a wtedy moja narzeczona wypłakała by sobie oczy.

Nakir i reszta załogi czekała spokojnie, aż Jakób wyładował swą energię. Kiedy ten wygadawszy się, włożył czapkę na głowę, weszliśmy wszyscy do kajuty.

Nagle Abraham uskoczył na bok; spojrzałem za jego wzrokiem i spostrzegłem na ziemi przed drzwiami, prowadzącemi do kajuty kapitana, ciemną mokrą plamę.

— To się zmyje — zauważył Nakir, który spostrzegł powód naszego zmieszania. — Przez chwilę zastanawiałem się nad tem, czy nie wrócić na pokład, wziąć leżącą tam czapkę z nożami i rzucić w morze. Refleksya jednak powiedziała mi, że strata noży powiększyłaby tylko złość tych ludzi. Zresztą, gdyby chcieli nas zabić, to z pewnością znaleźliby jeszcze inne narzędzia mordu.

Nakir, który szedł przed nami, zatrzymał się u górnego końca stołu, położył rękę na krześle kapitana i schylając głowę przed Helgą, zapytał:

— Czy pani chce tu siedzieć?

Helga przeszła spokojnie wzdłuż szeregu Malajczyków i zajęła wskazane miejsce. Była blada, jak opłatek, ale oczy jej silnie błyszczące, spoglądały śmiało w kolorowe twarze załogi.

Ja stanąłem po lewej jej stronie, Abraham i Jakób po prawej.

Nakir przemówił kilka słów po malajsku, a wtedy wszyscy, na komendę, wyciągnęli ku nam obie ręce ze złożonymi razem palcami wskazującymi. Jakób cofnął się przestraszony i krzyknął.

— Co to znaczy, Nakirze? — zapytałem.

— To mówić wam, że my być wasi bracia, panie. To znak przyjaźni z mój kraj.

Ręce wzniesione opadły; znowu przemówił Nakir i znowu wszystkie wskazujące palce zwróciły się ku Heldze. Następnie Pnumeamootty opuścił kajutę. Abraham otarł pot z czoła.

— Dobrzeby było, aby on mówił po angielsku — wskazał na Nakira — inaczej nie można wiedzieć, co się ma stać.

— Wszystko *allee right,* Mister Vise — odpowiedział Nakir — Pnumeamootty przynieść koran, aby przysięgać.

W mocy rozbójników.

W milczeniu i bez ruchu stali żółci marynarze wokoło stołu. Było tak cicho, że jeden mógł słyszeć oddech drugiego. Zapanowało upiorne milczenie, przerywane tylko tępemi uderzeniami żagli o maszty i cichem bulkotaniem fal, które rozbijały się o boki okrętu.

Nikt nie przemówił słowa. Helga, siedząca tuż przy mnie, przytuliła się do mojego boku. Jakób i Abraham nie poruszyli się. Mnie serce biło tak, iż zdawało mi się, że pęknie. Żółci mordercy przyglądali się nam spokojnie, zwłaszcza zaś Heldze.

Wreszcie wrócił Pnumeamootty, krocząc uroczyście, a na wyciągniętych rękach dźwigał duży foliał, który podał Nakirowi. Ten oddał księgę Heldze.

— Tu pani, być koran, nasza świętość. Zobacz, czy to istotnie prawda.

Podana księga była manuskryptem, oprawnym w skórę. Kartki jej były bogato ozdobione złotem i kolorami. W jakim języku księga była spisana, nie mogłem odczytać; w tej chwili było mi to obojętne, mógł to być nawet talmud.

— Chcę wierzyć twym słowom — oświadczyłem Nakirowi. — On zaś zwrócił się do ludzi i zawołał do nich znowu kilka słów, poczem zaczęli wszyscy wykonywać jakieś dziwne, gwałtowne ruchy i krzyczeć:

— Al-koran! Al-koran!

Następnie ujął Nakir księgę w ręce i stanął u górnego końca stołu. Wszyscy umilkli i zwrócili się ku niemu.

— Pani i wy wszyscy — zawołał — wiecie, dlaczego my zabić kapitana, Mr. Jones? Oni źli, niepoczciwi ludzie! Chcieli biednych Muzułmanów posłać do piekła. My przyjść tutaj pracować, dawaliśmy im to za ich pieniądze — przy tych słowach podniósł zaciśniętą pięść — ale nie oddać to, co należy do Allah.

Uderzył się pięścią w piersi.

Pomruk zadowolenia towarzyszył tym słowom. Wszystkie brązowe głowy schyliły się na znak zgody.

— My nie wszyscy Malajczycy — ciągnął dalej Nakir — ale my wszyscy ludzie, panowie! Czujemy głód, pijemy, płaczemy i śmiejemy się, tak, jak wy biali, którzy nie wierzycie w proroka. Zabiliśmy złych ludzi, to był wymiar sprawiedliwości!

Melodyjny głos jego stał się świszczący, oczy zapłonęły, a ręka mimowoli chwyciła za pochwę puginału. Wszyscy patrzyli weń jakby zahypnotyzowani.

Nakir mówił dalej:

— Okręt ma płynąć na Południe. Niektórzy z nas mają wysiąść w Kapstadzie. Gdy tam przybyć, zaraz zapytają: gdzie jest kapitan? gdzie jest Mr. Jones. A my nie chcieć na to odpowiedzieć.

— Dokąd chcecie płynąć? — zapytałem.

— Do jakiejś innej przystani w południowej Afryce.

— Oznaczcie dokładnie.

— O, tam być rzeka; tam staniemy, wysiądziemy na ląd i pójdziemy, pójdziemy.

Helga przestraszyła się.

— Pan i pańscy ludzie chcą, abyśmy was dowieźli gdziekolwiek do lądu? — zapytał Abraham.

— Nie! nie! — zawołał Nakir. — Nie gdziekolwiek! W bliską okolicę Przylądka Dobrej Nadziei. Nie za daleko!

— Przecież wiecie o tem dobrze, Nakirze — odezwałem się, przygnębiony tem żądaniem — że ja i moja towarzyszka pragniemy wrócić do domu. Kapitan gwałtem nas zatrzymał i wziął ze sobą. Przecież nie możecie od nas wymagać, abyśmy na tym okręcie płynęli razem z wami do końca podróży.

— Kto w takim razie poprowadzi okręt? — zapytał Nakir.

— A no, Mr. Vise — odpowiedziałem — zwracając się do Abrahama.

— Do dyabła! ani mi się śni — krzyknął Abraham. — Nie znam się wcale na oznaczeniu długości.

— Na miłość boską, człowiecze, nie mów tak! Panna Nilsen i ja chcemy stanowczo przesiąść się na inny okręt!

— Ja także! — krzyknęli równocześnie Abraham i Jakób.

— My wszyscy chcemy się dostać na inny okręt — oświadczyłem Nakirowi. — Potem możecie sobie robić z okrętem, co się wam podoba.

Ostre okrzyki „Nie! nie!“ rozległy się wokoło. Nakir uciszył wszystkich skinieniem ręki.

— My nie módz mówić z żadnym okrętem.

— Jeśli chcecie nas zatrzymać z obawy, abyśmy was nie wydali – zawołał Abraham, to przysięgnę wam w imieniu nas wszystkich, że was nie zdradzimy.

Helga, która bez ruchu siedziała w fotelu i przysłuchiwała się rozmowie, szepnęła mi:

— Przecież pan widzi, że to sprawa między nimi umówiona. Musimy pozornie zgodzić się i kazać im przysięgać na wierność.

Spojrzałem po zgromadzonych i ze stanowczego wyrazu ich twarzy przekonałem się, że Helga ma racyę i że dalsze zwlekanie staje się dla nas niebezpiecznem. Żółci bandyci oszczędzali nas dotychczas tylko w tej nadziei, że ich dowieziemy do Afryki. Nas trzech z pewnością by zamordowali, ponieważ wystarczała im Helga, jako mająca najwięcej wiedzy żeglarskiej pomiędzy nami.

Szybko szepnąłem do Abrahama:

— Ani słowa więcej! jeśli wam życie miłe!

Zwróciłem się następnie do Nakira:

— Chcecie więc płynąć do południowej Afryki?

— Tak panie!

— A my mamy wam przyrzec, że nie zawołamy pomocy żadnego przejeżdżającego okrętu?

— Tak panie! — przytaknął Nakir.

— A potem?

— Potem wy przysięgnąć i my przysięgnąć na koran i być dobrymi przyjaciółmi.

— Stawiam jeszcze jeden warunek — odpowiedziałem, usiłując zapanować nad nerwami – gdzie będziemy mieszkać?

— Tutaj. Z nas nikt tu nie przyjść.

— Dalej przypuszczam, że tak, jak dotychczas, będziecie nam usługiwać.

— Tak, panie, my wszyscy chcemy panu i tej pani służyć! My dać wam te pokoje.

Przy tych słowach wskazał na kajutę kapitana i sternika.

Helga szepnęła mi:

— Każ im teraz przysięgać!

— Nakirze — zawołałem — godzimy się na wasze propozycye i obejmujemy prowadzenie okrętu. Przedtem jednak musicie nam przysiądz na waszą świętą księgę, że nie uczynicie nam żadnej krzywdy i będziecie posłuszni naszym rozkazom.

Nakir przemówił do załogi. Nie ulegało żadnej wątpliwości, że on był dowódcą całej tragedyi. Jego fascynujące spojrzenie ujarzmiało wszystkich innych. Mimo to, w czasie jego przemowy odezwały się tu i ówdzie pomruki niezadowolenia.

Nagle podniósł Nakir obie ręce do góry i w rozkazującym tonie wyrzucił kilka słów, po których zapanował bezwzględny spokój. Pochwycił świętą księgę i podał ją najbliżej stojącemu. Następnie przemówił po angielsku:

— Pani i ty panie, Mr. Vise i Jakóbie, my teraz wykonać przysięgę muzułmańską. Ja nie dobrze mówić wasz język, ale wy wszyscy macie zrozumieć moją przysięgę po angielsku.

Podniósł oczy do nieba i zawołał śpiewnym donośnym głosem:

— W imieniu Allaha, dobrego i łaskawego pana wszechrzeczy! Jeśli złamię tę przysięgę, niech pójdę, o panie! do piekła!

Po kolei brał jeden za drugim księgę, wznosił ją nad swoją głową i przysięgał po turecku.

Kiedy książka powróciła do Nakira, zwrócił się z krótkim rozkazem do Ong-Ho, który natychmiast kajutę opuścił. Zaraz potem nadszedł człowiek, który stał przy sterze i wykonał także przysięgę. Cała ta manifestacya robiła wrażenie uczciwego postępowania. Ostatni złożył przysięgę Nakir i w kilka minut potem zniknęli z kajuty wszyscy marynarze z wyjątkiem Nakira.

— Widzi pani, wszystko poszło dobrze — oświadczył on z uśmiechem Heldze.

— Jesteśmy też zadowoleni — odpowiedziała wstając. Spojrzenie jej padło w tej chwili na czarną plamę na podłodze i twarz jej ściągnął kurcz przerażenia.

— Jutro rano ustalimy na karcie miejsce, dokąd mamy jechać. Wy umiecie sterować pani?

— My — oświadczyła mu Helga, wskazując ręką na nas troje — my spełnimy wasze życzenie.

— Kto ma teraz służbę na pokładzie? — zapytałem.

— Ja mam straż na górze — zgłosił się Abraham.

— *Allee right*, Mr. Vise! Piękna noc dzisiaj! Ja teraz iść spać.

Z tem oświadczeniem znikł Nakir w ciemności.

Kiedy opuścił nas ostatni z tych kolorowych dyabłów, obudziliśmy się jakby z ciężkiego i strasznego snu.

— Ostrożnie! — szepnęła Helga — nie możemy tutaj razem pozostać. Tam w ciemności obserwują nas.

— Tutaj stoi jednak ktoś — krzyknął gwałtownie Jakób — komu ani w myśli jechać na okręcie, pełnym krwiożerczych bestyi.



Złożył cały ten arsenał u stóp Helgi.

— Psst! Nie krzycz tak głośno! — uspokajałem go.

Wściekły spojrzał na mnie, ale dalej mówił już ciszej.

— Gdy te bestye usną, zamkniemy otwór na pokładzie, a wtedy uwięzimy ich jak w studni; chyba, żeby sam dyabeł stanął nam na przeszkodzie, gdybyśmy z tymi trzema lub czterema na pokładzie nie dali sobie rady.

— A czy sądzisz, że oni nie będą ostrożni, przyjacielu? — zauważył Abraham. — Pięści moje nie są od macochy! Ale te łajdaki są urodzonymi wojownikami noża. Rusz tylko jednego, a masz jego nóż w ciele! Nie zapominaj, że nas jest trzech przeciw jedenastu.

— Nie możemy już dłużej tutaj naradzać się. Obserwują nas – wskazałem ruchem głowy za siebie.

— Czy niema na okręcie broni palnej? — zapytał Abraham.

— Przypuszczam, że także bez tego damy sobie radę — oświadczyła Helga. — Zostawcie mi trochę czasu. Mam plan, który uratuje może i nas i okręt.

Jakób zamruczał, zaciskając pięści:

— Czyż mamy spokojnie siedzieć i czekać, aż nas zakłują, jeśli jest nas trzech mężczyzn i dziewczyna, która starczy za dwóch mężczyzn. Przecież lepiej zrobimy, rzucając się na te żółte małpy i skręcając karki jednemu za drugim.

— Pan chyba zwaryował — rozgniewałem się.

— Dlaczego nie miałoby się to nam udać? — mruknął zduszonym głosem.

Po chwili, pozrzędziwszy jeszcze trochę, opuścił kajutę z Abrahamem. Obaj poszli objąć wartę.

— Zmienię was o czwartej — zawołałem za nimi, skręciłem lampę i usiadłem obok Helgi, aby się z nią naradzić.

Przeżyliśmy niejedną niebezpieczną godzinę od chwili, gdyśmy się spotkali w ową straszną burzliwą noc. Nic jednak nie dorównało tej chwili na barce, otoczonej dookoła ciszą nocną i milczącym oceanem. Dwie godziny siedzieliśmy cicho, szeptając ze sobą i czuliśmy instynktownie, że wokoło nas poruszają się w cieniach nocy tajemnicze postacie, a przez górne okno obserwują nas bystre oczy.

Mimo, iż myśl o własnem naszem niebezpiecznem położeniu przewyższała wrażenia, jakie sprawiło na nas podwójne morderstwo, przecież spoglądałem od czasu do czasu z wewnętrzną trwogą na drzwi sypialni obu pomordowanych, mimowoli oczekując, że lada chwila ujrzę tam wychodzące skrwawione ich postacie.

Byłem głęboko o tem przekonany, że załoga chce istotnie skierować statek w pobliże Przylądka Dobrej Nadziei, ale nam trzem mężczyznom nie pozwoli żywym dostać się na ląd.

— A ich przysięga? — zarzuciła Helga.

— Życie cenią sobie zapewne wyżej, jak przysięgę.

Po wielu rozważaniach, około czwartej plan nasz był już omówiony i udaliśmy się na pokład. Kazałem Abrahamowi i Jakóbowi zejść na dół, nie mogłem ich powiadomić o naszych zamiarach, gdyż majtek, stojący przy sterze, bacznie nas obserwował, dałem im jednak do zrozumienia, że później ich we wszystko wtajemniczę. Jeśli nam się powiedzie, jutro opanujemy cały okręt.

Poszedłem potem ku sterowi, zamieniłem kilka słów z Malajczykiem, stojącym przy kole, a następnie spacerowałem z Helgą powoli po pokładzie. Ostrożnie obejrzałem się kilka razy i za każdym razem spostrzegałem tajemnicze postacie, kryjące się za masztami.

Wreszcie zaczęło świtać, na wschodzie żagle zabarwiły się kolorem szarym, a morze zaczęło silniej falować. Krwawa plama na pomoście kapitańskim wystąpiła teraz z groźną dokładnością.

— Przynieście szczotki do mycia! – zawołałem na trzech ludzi, którzy rozmawiali opodal — wymyjcie tę plamę jak najszybciej!

Zabrali się zaraz do roboty; z sercem przepełnionem smutnemi uczuciami wróciłem do Helgi.

Wreszcie wstało i słońce, rzucając szeroko po oceanie jasne promienie.

Jasny, niebieski firmament zapowiadał dzień pogodny. Tylko na północnym wschodzie widać było kilka małych srebrnych chmurek.

Helga zeszła odważnie po przez ciasne korytarze okrętu do swej kajuty na dole i pocieszała mnie z uśmiechem na ustach, kiedy pospieszyłem za nią, ciągle jeszcze pełen obaw.

O siódmej ukazał się na pokładzie Nakir, zapalił fajkę, a gdy mnie ujrzał nadchodzącego, pozdrowił mnie bardzo uniżenie. Mimowoli zauważyłem w duchu, że ten najniebezpieczniejszy z całej bandy rzezimieszek, ma jednak bardzo układne, a nawet wytworne, obejście.

— Proszę przysłać mi Abrahama — oświadczyłem mu grzecznie — wprawdzie nie ma on teraz służby, ale chciałbym z nim przeszukać kajutę kapitana i zabrać instrumenty i karty.

Z pod spuszczonych powiek Nakira strzeliły błyskawice; usłużnie zwrócił się do mnie z prośbą, abym przedtem z nim porozumiał się co do portu, do którego mamy płynąć i zaproponował port, wymieniając jego nazwę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kraków ofiarom 48 roku.

Rok 1848 zapisał się krwawo w dziejach Krakowa. W dniu 26 kwietnia od kul austryackich na ulicach miasta zginęło 17 ofiar, które spoczywają we wspólnym grobie na cmentarzu rakowickim.

Był to budzący powszechne nadzieje powiew „wiosny ludów“, który przebiegł całą Europę. Obywatelstwo krakowskie zażądało opuszczenia Krakowa przez Austryaków. Wobec poważnej postawy tłumu Austryacy postanowili Kraków opuścić. Wyszli na Podgórze, gdzie rozpędzili jarmark i zaczęli dopuszczać się krwawych wybryków na Kazimierzu. Wybryki te doprowadziły wreszcie do krwawej walki. Z Wawelu wystąpiły kolumny wojska austryackiego, na ulicach miasta rzucono się do budowy barykad. Z tych barykad w ulicy Floryańskiej dwukrotnie ludność odparła szturm austryacki. Milicya miejska, stojąca pod „Baranami“, została zaatakowana przez armaty austryackie z ul. Wiślnej. Wtedy przeniosła się pod Sukiennice, atakując równocześnie od skrzydła jazdę austryacką pod wodzą majora Schneidra. Jazda ta poszła w rozsypkę, a za nią zaczęły ustępować kolumny austryackie. Wojska cofnęły się pod Wawel, skąd po chwili na miasto zaczęły padać granaty, niosąc zniszczenie i pożar.

Zapłonęła łaźnia na Piasku, zapalił się szereg domów, ucierpiały także Sukiennice.

Równocześnie na skutek polecenia wodza austryackiego wypuszczono z więzień 300 zbrodniarzy, polecając im palić i rabować. W ten sposób miasto zostało zmuszone do kapitulacyi. Moltke, dowódzca austryacki, obsadził je na nowo wojskiem, a na placu boju pozostało siedemnaście ofiar, które bądź padły w walce, bądź przypadkowo znalazły śmierć od zabłąkanych kul austryackich.

Aby uczcić pamięć ofiar tej ostatniej walki niepodległościowej w Krakowie, stowarzyszenie krakowskie „Gwiazda“ zawiązało przed kilku laty komitet, który zajął się zbieraniem składek na budowę pomnika dla poległych bohaterów. Kiedy suma doszła do poważniejszej kwoty, podjął się wykonania pomnika znany zaszczytnie artysta prof. Laszczka.

Przed kilku dniami odbyło się uroczyste odsłonięcie pomnika.

Ofiary 48 roku spoczywają na cmentarzu krakowskim w wielkim wspólnym grobie, mającym kształt prostokąta. Otoczony on został kamiennem podmurowaniem, ofiarowanem przez prezesa „Gwiazdy“ p. Bujasa. W środku wznosi się wspaniała postać skrzydlatego anioła, „geniusza“, który w prawej dłoni trzyma ognisty miecz, lewą zaś osłania oczy patrząc w dal. Na dole u stóp anioła na czarnej tablicy wyryto nazwiska spoczywających w grobie.

Poświęcenie pomnika odbyło się bardzo uroczyście przy udziale tłumów Krakowian. Po żałobnem nabożeństwie, odprawionem w kaplicy cmentarnej, zebrani udali się nad mogiłę. Pomnik poświęcił ks. Hanuszek, poczem wygłosił piękne przemówienie. Cześć zmarłym złożyli w podniosłych mowach prezes „Sokoła“ p. Turski, wiceprezes „Gwiazdy“ pan Zając, wreszcie imieniem rady miejskiej tak tragicznie zmarły w dwa dni po tej uroczystości ś. p. prof. Pareński, który przypomniał obecnym, że jako czteroletni chłopiec był świadkiem tego pogrzebu.

Przemówienia przeplatał chór „Lutni“ pod batutą prof. Issakowicza, wykonywując pieśni religijne i patryotyczne.

Illustracye nasze przedstawiają nabożeństwo w kaplicy cmentarnej i moment poświęcenia pomnika.



Kraków ofiarom 48 roku: Nabożeństwo żałobne w kaplicy cmentarza krakowskiego przed poświęceniem pomnika na grobie poległych w r. 1848.



Kraków ofiarom 48 roku: Poświęcenie pomnika na grobie poległych w r. 1848 w Krakowie.

Kronika tygodniowa.

Nieraz już zastanawiałem się nad tem, dlaczego maj nazywają miesiącem poetów, dopiero ostatnia „Gazeta poniedziałkowa“ otwarła mi oczy.

W maju wiosna jest w całej pełni rozkwitu, a jak wiadomo, ma ona ogromny wpływ na całą przyrodę, a tem samem i na człowieka.

Rośliny pod wpływem nowych, życiodajnych soków w oczach puszczają pędy, zwierzęta, leniąc się, zmieniają strój zimowy na letni, nawet czcigodna twoja połowica, choćby przekroczyła już Rubikon życiowy, żąda koniecznie pieniędzy na nowy kostyum.

W organiźmie naszym z pierwszym powiewem wiosny burzą się i fermentują soki (dlatego to w tym czasie kazał sobie zawsze krew puszczać ś. p. Zagłoba), wywołując początkowo ogólne osłabienie, bóle i zawroty głowy, wogóle stan, zwany „wiosenną melancholią“, objawiającą się po chwilowej ogólnej niedyspozycyi w najrozmaitszych formach, zależnie od indywidualności człowieka, czasem, jako stan pewnego rodzaju zdenerwowania lub znieczulenia, pożądania czegoś, tęsknoty nieokreślonej bliżej, czasem znów działa podniecająco na fantazyę, budząc w niej aspiracye poetyckie, artystyczne lub erotyczne.

Dziwny ten wpływ wiosny na człowieka był i jest obecnie przedmiotem badań i dociekań naukowych lekarzy-biologów, którzy do różnych dochodzili wyników.

Już Darwin wskazał na to, że przebieg wszystkich chorób na wiosnę lżejszy jest i krótszy aniżeli w innych porach roku. (Ma racyę! Moja ś. p. teściowa akurat na wiosnę przeniosła się po dwudniowych cierpieniach do wieczności!... Przyp. zecera). Lombroso, zadawszy sobie trud statystycznego zestawienia ważniejszych odkryć z dziedziny chemii, fizyki i astronomii, wykazał, iż przeważnej ich części dokonano na wiosnę. (To samo można powiedzieć i o polityce, wszak w maju pan Berchtold odkrył na Dunaju wyspę Ada-Kaleh i zabrał ją Turkom).

Notorycznie znanym jest fakt, iż obłąkani idyoci na wiosnę zdradzają pewne przebłyski duszy i rozumu, naodwrót jednak niektóre choroby, n. p. mózgowe, najczęściej objawiają się także na wiosnę.

Otóż teraz otwierają się nam dopiero oczy, po przeczytaniu powyższych ustępów, możemy sobie wytłumaczyć niektóre przejawy życiowe, które dotąd były dla nas niejasne. Tutaj szukajmy także przyczyny, dlaczego nasza polityka tak szwankowała w ostatnich czasach, a dyplomaci wywrócili tyle niepotrzebnych koziołków.

Wszystko to są następstwa wiosny, która, jak z tego widać, jasno, jak na dłoni, ma prócz swych stron dodatnich (n. p. sałata, rzodkiewka, młode kurczęta i t. d.) i ujemne, choćby wziąć tylko wzmożoną płodność naszych poetów i zwiększoną skłonność do bzika u całej ludzkości.

Tyle o wiośnie, boję się bowiem, by mnie ktoś nie posądził, że i na mnie znać jej wpływy.

Ubiegły tydzień był nader obfitym w wypadki sensacyjne, między nimi zanotowaliśmy aż trzy morderstwa, każde w innej stronie świata. Dziennikarze nie są z tego wcale zadowoleni, owszem narzekają, wobec bowiem zbliżania się sezonu ogórkowego woleliby stanowczo, by co tydzień przypadało jedno. Byłoby o czem pisać i nie trzebaby się oglądać na węże morskie i dzikie kaczki dziennikarskie, na które jeszcze panuje czas ochronny.

Najmniej interesu budzi skrytobójcze morderstwo w Podgórzu pod Krakowem, nie mające żadnego podkładu politycznego. Ofiarą jego padł obywatel podmiejski, a przyczyną były w każdym razie stosunki familijne, jeśli nie na tle erotycznem, to w każdym razie finansowem. Śledztwo policyjne, ani sądowe, nie zdołało tego dotąd ustalić.

Wobec tego o tym wypadku nie powinno się nawet i wspominać, mimowoli wszakże ciśnie się przy każdem podobnem zdarzeniu na usta pytanie: A co też słychać ze sprawcą, czy sprawcami mordu na osobie ś. p. Sienickiej przy ul. Szlak?

Trzeci rok mija, a o tem ani słychu, choć czytaliśmy w swoim czasie, że „umiejętnie pokierowane śledztwo naprowadzi niewątpliwie na ślad mordercy“.

Tak się jednak nie stało, dotąd nie wiemy, kto tam umaczał swą rękę, na nic nie zdało się nawet urzędowe ogłoszenie, wzywające sprawcę, by zgłosił się w krakowskiej Dyrekcyi policyi w terminie czternastodniowym, w przeciwnym bowiem razie sam sobie będzie musiał przypisać skutki zaniedbania.

Widocznie, jeśli *nota bene* podobne obwieszczenie wydano, bo tylko słyszałem o tem, a wiadomo, że ludzie lubią przesadzać, zbrodniarz nie dotrzymał terminu i teraz boi się smutnych następstw. Dlatego siedzi cicho, trzymając się starej zasady: nie kładź głowy pod ewangelię, bo to niezdrowo!

Swoją drogą, jak na spokojny, choć rozszerzony Kraków dwa morderstwa w przeciągu zaledwie miesiąca, to trochę zawiele, bo chyba nie więcej czasu upłynęło od chwili, gdy na Łobzowie znaleziono w gnojówce zwłoki ś. p. Góreckiej... Także i w tym wypadku dokładnie jeszcze nie wiemy, kto dopuścił się czynu karygodnego i niecierpliwie czekamy na rezultaty śledztwa.

Daleko bardziej interesującą jest sprawa zastrzelenia tureckiego wielkiego wezyra, Mahometa Szefket baszy, które uważać należy za objaw reakcyi starotureckiej przeciw Młodoturkom, w każdym razie zaś za pewny znak rozkładu wewnętrznego, jaki dokonuje się w ciele żywego nieboszczyka, dogorywającego nad Bosforem.

W chwili dla Turcyi tak przełomowej, jak obecna, wewnętrzna walka stronnictw to znak niechybny zbliżającego się końca... Maluczko, a nie ujrzymy Turków w Europie, gdzie z pewnością już by ich nie było, gdyby nie nieszczęsny Bosfor i Dardanelle, stanowiące europejską kość niezgody.

Dzięki im właśnie Turków cierpi się u nas, uważając ich jako *malum necessarium*. Gdyby nie to, już dawno wytransportowanoby ich do Azyi, a i tam los mieliby niepewny, jak bowiem już swojego czasu wspomnieliśmy, mocarstwa europejskie „ograniczyły dokładnie sferę swych interesów co do terytoryum padyszacha“, czyli innemi mówiąc słowy podzieliły się jego skórą, choć ona jeszcze na baranie.

Dotąd uważałem Turków za dzielnych ludzi, sądząc może niesłusznie, iż posiadają wiele energii życiowej, skoro potrafi sobie każdy dać radę z kilku a nawet kilkunastu żonami, gdy tymczasem pierwszy lepszy z nas (n. p. nie pokazując palcem, kronikarz!... przyp. zecera) z jedną sobie rady dać nie może. Dziś widzę, że byłem w błędzie. Turek pod tylu pantoflami stracił całkiem fantazyę, energię i t. d., jednem słowem stał się fujarą i przysłowiowym niedołęgą. Przyjdzie czas, że będą mówić: Głupi, jak Turek!

Skoro jedna żona potrafi obrzydzić człekowi żywot doczesny, cóż dopiero mówić o całym ich legionie.

Biedni więc są ci Młodoturcy i Staroturcy, a powiedzmy, że i jedni i drudzy dyabła dziś wartają.

Przechodzę wreszcie do trzeciego morderstwa, najsmutniejszego, bo najbliżej nas obchodzącego i otwierającego znów wrzód, który nam tak dolega.

Z ręki ucznia, Rusina-Ukraińca, padł profesor Polak, jak twierdzą nawet ruskie, więc uprzedzone źródła, wcale nie szowinista, który wymagał od swych uczniów tyle, ile był powinien, nie zważając na to, czy ma do czynienia z Polakiem, czy Rusinem.

Czy czyn ten był wynikiem spisku Ukraińców-seminarzystów, czy był on spowodowany osobistem przeświadczeniem mordercy, że dzieje mu się krzywda, na jedno to wychodzi. W ten sposób uczniowie nie załatwiają porachunków ze swymi profesorami!

Zbrodnia Dżegały przypomina zbyt żywo zamordowanie ś. p. namiestnika Potockiego, człowieka usposobionego dla galicyjskich Rusinów jak najżyczliwiej, przez młodego fanatyka Siczyńskiego. Ukraińskie społeczeństwo wówczas zamiast czyn potępić, zrobiło z mordercy bohatera, po całym kraju zaś rozrzuciło tysiące widoków z portretem matki „heroja“, widokiem kryminału w Stanisławowie, gdzie pędził wesołe życie przed wyjazdem do Ameryki i t. d. W ten sposób popularyzowało się zbrodnię i przygotowywało grunt, na którym tak rychło miał zakwitnąć nowy kwiat ukraińskiej kultury, jakiej nie powstydziłby się ani Gonta, ani Żeleźniak.

Rozmawiałem onegdaj z jednym z krakowskich Rusinów o wypadku, rzecz prosta nie mógł go pochwalić, oświadczył jednak, że jest to czyn szaleńca, za który nie może odpowiadać ruskie społeczeństwo.

Zupełnie to samo mówiono o Siczyńskim, starając się postępek jego wytłumaczyć.

To jednak bieda, że tych „szaleńców“, jak ów pan ich nazywa, jest coś zawiele i to ciekawe, że tego rodzaju szałowi, który używa rewolweru, czy browninga, podpadają przeważnie sami młodzieńcy, wychowani na zasadach ukraińskich.

Widoczne, więc, że ta kultura jest niezdrową i że trzeba pomyśleć o radykalnej kuracyi.

Kto zna stosunki wschodnio-galicyjskie, wie, że tam od pierwszych chwil młodości wmawia się w dorastające pokolenie, że ze strony drugiej narodowości dzieje się im krzywda. Młode, bezkrytycznie zapatrujące się na świat umysły przepojone są trucizną, nic dziwnego, że się potem paczą i wydają tego rodzaju jednostki, jak Siczyński i Dżegało.

Winę więc ponoszą prawie w całości przewodnicy młodzieży ukraińskiej, zwalczający namiętnie, powiedzmy nawet fanatycznie, wszystko, co polskie, a zapominający o tem, że to, czem są obecnie, zawdzięczają jedynie tylko nam i naszej kulturze, której część sobie przyswoili, jednak przeważnie ją skarykaturowali.

Jak zaś przedstawia się ta rzekoma „krzywda“, która dzieje się Ukraińcom ze strony Polaków, postaram się wykazać na maleńkim, wziętym z życia przykładzie.

Bawiąc swojego czasu we Lwowie i w mniejszych miastach Galicyi wschodniej, a zastrzegam się, że wówczas walka narodowościowa nie była do tego stopnia rozdmuchaną, jak dzisiaj, widziałem, jak solidarnie postępują Rusini, jeśli rozchodzi się o popieranie swoich kupców, rzemieślników i przemysłowców, a bojkot Polaków. Taki ukraiński szowinista woli napisać po niemiecku, jeśli nie może cyrylicą, kupi raczej u Niemca, aby tylko nie dać Lachowi zarobić!

A przypatrzmy się teraz, co się u nas dzieje. U nas, powiadam, w Krakowie, dokąd chyba nie sięga wcale najbardziej nawet zachodnia Ukraina! Czy u nas aż się nie roi od Rusinów? Któż chwycił w swe ręce cały handel owocami i ciągnie zeń kolosalne zyski? Czy mało po sklepach i warsztatach Rusinów, którym przecież nikt nie powiada, że my mamy chleb dla swoich?

Wiedzą o tem i dlatego ściągają do nas coraz gromadniej, stąd wywożą pieniądze, a powróciwszy za San, nie mają słów na potępienie Lachów, którzy tak ciemiężą biedną, nieszczęśliwą Ukrainę!... I to gdzie?... Na rdzennie ruskiej ziemi, w samym Krakowie!

Końby się z tego śmiał, młodzi Ukraińcy wierzą jednak w to, co im powiedzą ich prowodyrzy, a ci umieją dzielnie szermować fałszem i oszczerstwem.

Albo, czy mało mamy pośród nas urzędników-Rusinów, którzy wcale nie są narażeni na żadne nieprzyjemności lub prześladowania z tego powodu, że przyznają się do swej narodowości?... Darzy się ich większymi względami, niż swoich, by przypadkiem nie narzekali, że wobec nich nie jesteśmy gościnni.

A oni mimo to powiadają, że dzieje im się krzywda, choć i władza przełożona smaruje ich miodem, a obchodzi się, jak z jajkiem śmierdzącem!

To są obrazki owych „krzywd“, za które mszczą się Siczyńscy i Dżegały!

Ciekawe, dokąd też pan Dżegało wybierze się na wojaż, bo zapewne i pod tym względem wejdzie w ślady Siczyńskiego-heroja, skoro Ameryka zamyka granice swe dla morderców, defraudantów i innych podobnych wyrzutków społeczeństwa.

Zbyt uniosła mnie kronikarska wena, nie zostało miejsca nawet na wybory, które mamy już za pasem i na wzmiankę o dniach kwiatka. W ubiegły piątek i niedzielę mieliśmy aż dwa, podobno po raz ostatni... w tym tygodniu.

Głosy publiczne.

Z miejskiej szkoły gotowania i gospodarstwa domowego (Pędzichów 15). Zakończenie roku szkolnego, t. j. popis z gotowania wobec przedstawicieli władzy szkolnej i rozdanie świadectw, odbędzie się w tej szkole 21 t. m. Przez dnie 20, 21 i 22 t. m. w lokalu szkolnym wystawa z wstępem bezpłatnym. Będzie to bardzo zajmująca wystawa prac uczenic z wszystkich działów i kursów: bieliźniarstwa, prania i prasowania, zwykłego i chemicznego, krawieczyzny, robót ozdobnych i praktycznych i artystycznych.

Tragiczny zgon znakomitego lekarza.

We wtorek, dnia 17. czerwca rozeszła się po naszem mieście wieść hiobowa, której początkowo nie chciał nikt wierzyć... W drodze do Zawiercia w Królestwie Polskiem, dokąd spieszył z pomocą cierpiącemu, zginął tragiczną śmiercią znakomity krakowski lekarz-internista, dr. Stanisław Pareński.

Profesor Pareński wyjechał tego dnia wczesnym rankiem z Krakowa, wezwany telegraficznie do cho-



Tragiczny zgon znakomitego lekarza: Ś. p. prof. Stanisław Pareński.

rego. Za stacyą w Szczakowej przekonał się, że jedzie niewłaściwym pociągiem nie ku Granicy, lecz w stronę Prus, do Mysłowic. Chcąc jak najprędzej dostać się do chorego i nie tracić drogiego czasu, otworzył drzwi wagonu i wyskoczył.

Skok był fatalny, śmiertelny.

Wkrótce po przejściu pociągu budnik kolejowy spostrzegł na plancie w odległości około kilometra za stacyą ciało nieznajomego mężczyzny. Dawał on jeszcze słabe oznaki życia, na pytania już nie odpowiadał. Budnik zawezwał żonę i posłał ją do budynku stacyjnego po pomoc, sam zaś został na miejscu.

Natychmiast pospieszono na miejsce i w ofierze wypadku rozpoznano profesora Pareńskiego.

Zwłoki leżały prawie na wznak na nasypie kolejowym, na twarzy widać było czarną plamę od żużli, którymi tor jest obok szyn wysypany.

Lekarz stwierdził śmierć skutkiem złamania podstawy czaszki.

Smutna wiadomość, którą podawano sobie z ust do ust, okryła żałobą miasto, uniwersytet i szpital św. Łazarza, gdzie ś. p. Zmarły od szeregu lat tak owocnie pracował.

Nazwisko prof. Pareńskiego było jednem z najpopularniejszych w kraju, zarówno jako lekarza światowej sławy, jak i obywatela.

Dziecko Krakowa, tu się bowiem urodził w dniu 16 listopada 1843 r., tutaj ukończył studya średnie i uniwersyteckie, tu uzyskał stopień doktora medycyny i rozpoczął praktykę lekarską.

Po wzięciu czynnego udziału w wypadkach z r. 1863, gdzie walczył w szeregach oddziału Mossakowskiego, poświęca się całą duszą umiłowanemu zawodowi i już w r. 1870 obejmuje obowiązki sekundaryusza w szpitalu św. Łazarza, następnie pełni funkcye asystenta przy katedrze kliniki chorób wewnętrznych, której dyrektora zastępuje przez lat dwa po śmierci ś. p. prof. Gilewskiego.

W r. 1872 otrzymał ś. p. Pareński nominacyę na docenta dyagnostyki chorób wewnętrznych, w dniu 15 go stycznia 1890 r. mianowany został nadzwyczajnym profesorem patologii i terapii chorób wewnętrznych na wydziale lekarskim Uniwersytetu krakowskiego.

W r. 1875 objął stanowisko prymaryusza od-



Z Paryża do Warszawy w 10 godzin: Zdobywca rekordu Paryż-Warszawa p Brindejonc (X) w towarzystwie lotnika warszawskiego hr. Scipiona i jego małżonki. (Fot. Maryan Fuks, Warszawa).



Z Paryża do Warszawy w 10 godzin: Lotnik francuski Brindejonc przed wzlotem z Warszawy w dalszą podróż do Petersburga. (Fot. Maryan Fuks, Warszawa).



Z sezonu wyścigowego: Główna trybuna na wyścigach we Lwowie. (Fot. M. Münz, Lwów).



Z sezonu wyścigowego: Prezydyum Towarzystwa wyścigów konnych we Lwowie z namiestnikiem Korytowskim (X) na czele. (Fot. M. Münz, Lwów).

działu chorób wewnętrznych i na tym posterunku pracował bez przerwy przez lat trzydzieści ośm.

Znakomity dyagnosta, znany także z prac swych w literaturze medycznej, wykształcił prof. Pareński całe pokolenie lekarskie, które licznie gromadziło się na Jego wykładach. Młodzież darzyła Go rzetelnem przywiązaniem jako prawdziwego opiekuna, przyjaciela i najlepszego przewodnika.

Jako lekarz praktykujący znany był ś. p. Zmarły wszędzie na ziemiach polskich, do Niego po poradę ciągnęły rzesze cierpiących ze wszystkich stron, wzywano go na konsylia w kraju i zagranicą.

Niepośledne zasługi położył Zmarły także na polu podniesienia polskich zdrojowisk i uzdrowisk.

Służbę lekarską dla ukochanego swego Krakowa rozpoczął ś. p. Pareński już w r. 1878, gdy Go powołano do komisyi sanitarnej, w r. 1881 wybrany członkiem Rady miejskiej, mandat ten piastował aż do zgonu.

Jako radca miejski położył też znakomite zasługi w dziedzinie zdrowia publicznego, ponadto brał udział w życiu wielu towarzystw naukowych i humanitarnych, głównie zaś jako prezes delegacyi Tow. Uczestników wypadków z r. 1863.

Tak czynny i zasłużony żywot skończył się tragicznie. Nieubłagana śmierć przecięła pasmo zasłużonego żywota i ciężką żałobą okryła Rodzinę i całe nasze społeczeństwo, które wie, co traci w osobie Zmarłego.

Cześć Jego pamięci!

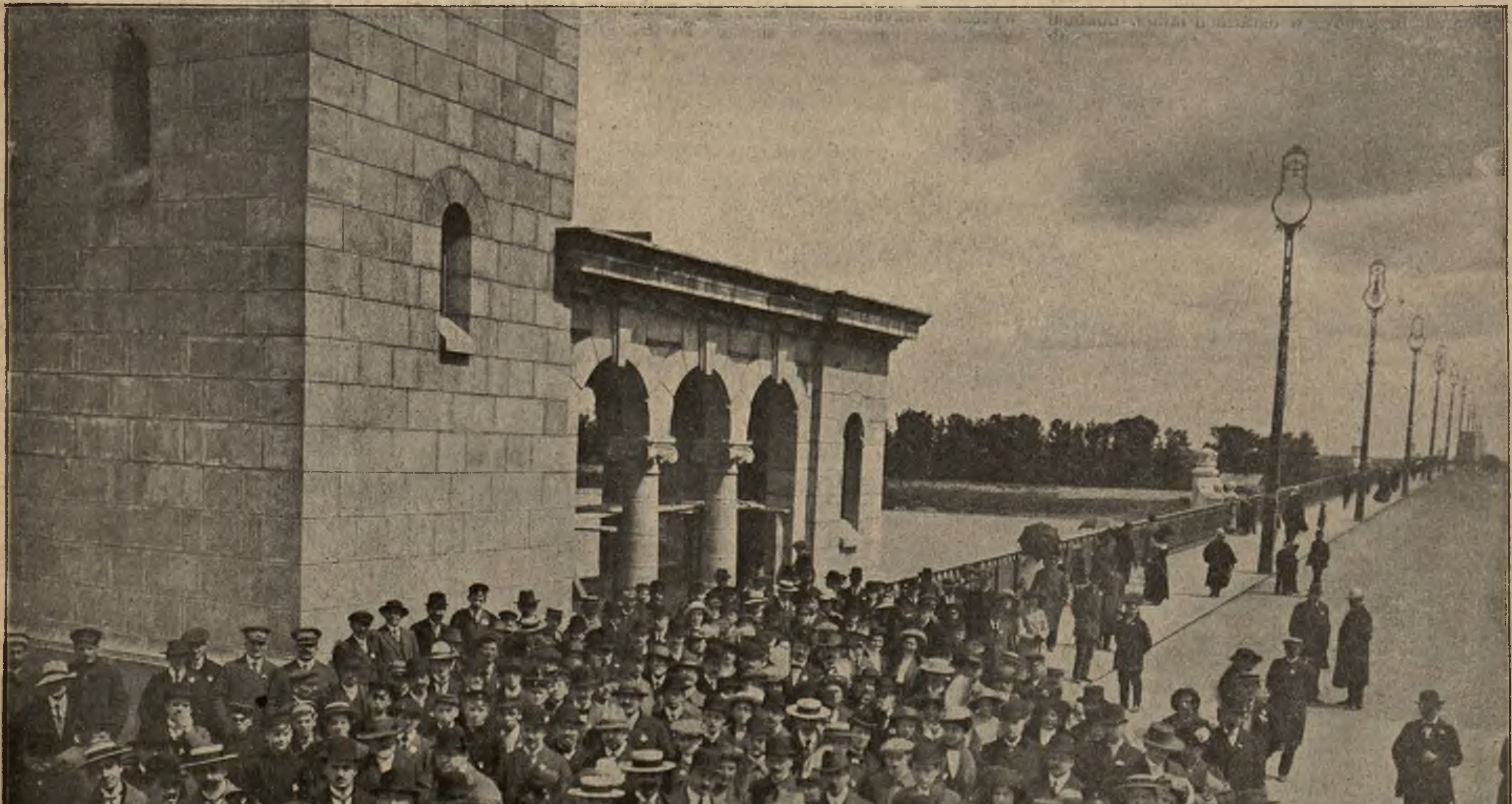
Po otwarciu trzeciego mostu w Warszawie.

Długo oczekiwała Warszawa na trzeci most, którego budowa połączona była z tylu trudnościami i przeszkodami... Z tem większem też zadowoleniem powitała częściowe otwarcie tej ważnej a tak niezbędnej arteryi komunikacyjnej... Na nowy most dążą też liczne wycieczki, które z zajęciem oglądają tę wspaniałą budowlę, którą miasto może się słusznie chlubić... W tych dniach zwiedziło gremialnie trzeci most Stowarzyszenie kupców polskich. Liczne grono uczestników tej wycieczki oprowadzali kierownicy budowy, udzielając fachowych wyjaśnień...

Illustracya nasza przedstawia właśnie wycieczkę Stowarzyszenia kupców polskich na nowym moście.

Z sezonu wyścigowego.

Czerwiec na całym świecie pozostaje pod znakiem wyścigów konnych. Odbywają się one w Wiedniu, we wszystkich wielkich miastach Europy, a ponieważ Galicya nie chce wyłączać się z ogólnego „koncertu europejskiego“, więc i Kraków i Lwów



Po otwarciu trzeciego mostu w Warszawie: Wycieczka Stow. kupców polskich na trzecim moście. 1) Gospodarz Stow. p. Hirszel, 2) inż. B. Plebiński i 3) inż. W. Paszkowski, kierownicy budowy mostu. (Fot. Maryan Fuks, Warszawa).

ma tory wyścigowe i wyścigi. W ostatnich dniach na arenie lwowskiej przez kilka dni z rzędu współzawodniczyły konie przeważnie polskich stajni o palmę pierwszeństwa. Na ogół jednak biegało koni stosunkowo mało, a „królową“ biegów stała się stajnia p. Zangena, która przeważnie z współzawodnictwa wychodziła zwycięsko, bijąc przeciwników.

Nie obeszło się bez wypadków. W trzecim dniu wyścigów w biegu drugim koń „Łyska“ ze stajni p. Ułaszyna potknął się na przeszkodzie tak nieszczęśliwie, że padając przywalił jeźdźca por. Pazdirka, co spowodowało u niego kontuzye czaszki i złamanie klatki piersiowej.

Publiczność stosunkowo mało interesowała się wyścigami. Najtłumniej było w niedzielę, kiedy między innymi gośćmi na tor zawitał także namiestnik Korytowski.



Z sezonu wyścigowego: Na wyścigach we Lwowie. (Fot. M. Münz, Lwów).

Zjazd łowiecki we Lwowie.

Przed kilku dniami odbył się doroczny zjazd łowiecki we Lwowie. Był on zarazem walnem zgromadzeniem galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego, rozwijającego się doskonale od 17 lat. Przewodniczył obradom prezes hr. Stadnicki. Z uchwał zjazdu wymienić należy wniosek o urządzenie wystawy trofeów łowieckich we Lwowie w roku przyszłym.

Ze zjazdem połączone było także łowieckie strzelanie premiowe. W zawodach uczestniczyło około 40 strzelców. Strzelano z pistoletów, kulami do tarcz stałych na 100 kroków, dalej na 150 kroków, na 300 kroków przez lunety, do ruchomego dzika, do ruchomego lisa, wreszcie śrutem do glinianych krążków.

Nagrodę wędrowną mistrzowską zdobył p. Henryk Prek. Wśród innych strzelców zdobyli pierwsze nagrody pp. Grunwald, Szancer, dr. W. Burzyński, kap. Walczak i kap. S. Żurowski. Z kobiet zdobyła nagrodę p. Jędrzejowiczowa.



Zjazd łowiecki we Lwowie: Popisowe strzelanie. (Fot M. Münz, Lwów).

Z Paryża do Warszawy w 10 godzin.

Geniusz ludzki, w swym nieprzepartym pędzie do podboju sił przyrody, w ostatnich latach dokonał wielkiego dzieła, zdobywając powietrze. Człowiek stał się nowożytnym Ikarem, który współzawodniczy z ptakami w szybowaniu po przestworzach powietrznych. Każdy niemal dzień przynosi nowe zdobycze awiatyki i rekordy lotów napowietrznych... W ostatnich dniach młody lotnik francuski Brindejonc dokonał przedsięwzięcia, które niedawno jeszcze uchodziłoby za bajkę: w ciągu jednego dnia przeleciał na aeroplanie z Paryża do Warszawy!

P. Brindejonc wzniósł się w Paryżu o godzinie 4 rano, mając pomyślny wiatr za sobą, i poszybował w linii powietrznej na Berlin. Pędził z przeciętną szybkością około 150 kilometrów na godzinę i o godzinie 10 minut 30 przed południem wylądował w Bitterfeld, skąd ruszył dalej do Berlina, dokąd przybył o godzinie 12 w południe.

Po opatrzeniu aparatu i zabraniu odpowiedniej ilości benzyny, p. Brindejonc wyruszył z Berlina około godziny 4 po południu i przybył do Warszawy o godzinie 7 wieczorem!

Całą więc drogę z Paryża do Warszawy, wynoszącą 1400 kilometrów, przebył w 14 godzin, a odliczywszy postoje w Bitterfeld i Berlinie, lot trwał 10 godzin.

W ten sposób lotnik francuski osiągnął dwa rekordy: najdłuższej przestrzeni, przebytej bez lądowania i najszybszego lotu.

Największą szybkość osiągnął lotnik pomiędzy Wanne a Berlinem, robiąc 250 kilometrów na godzinę. Na tej przestrzeni lot był najtrudniejszy, gdyż wiatr wzmógł się bardzo, aparat pędził wśród prawdziwych wirów powietrznych, a lotnik musiał wytężać wszystkie swe siły, aby zachować równowagę i utrzymać się w siodle. To też, gdy w południe aparat stanął wreszcie na aerodromie berlińskim, lotnik nie był w stanie zejść o własnych siłach z aeroplanu.

Posiłek i krótki wypoczynek przywrócił siły śmiałemu lotnikowi, który pomimo niepogody puścił się w dalszą drogę i w 3 godziny przyleciał do Warszawy. Przywiózł on tam ze sobą numery pism, które tego samego dnia opuściły prasę w Paryżu, a przybył wcześniej, niż wiadomość o wyruszeniu jego w drogę z Paryża...

Ten niebywały sukces lotniczy sprawił wielkie wrażenie w całej Europie, a w Warszawie dzielny lotnik stał się przedmiotem gorących owacyi.

P. Brindejonc jest człowiekiem młodym, liczy bowiem lat 21, wsławił się już jednak jako zwycięzca w locie Paryż-Madryt-Paryż. Obecnie pobił wszystkie dotychczasowe rekordy, zdobywając nagrodę „Coup de Pommery“ za „najdłuższy lot od wschodu do zachodu słońca“.

P. Brindejonc nie zadowolnił się jednak tym niezwykłym sukcesem i po kilkudniowym wypoczynku w Warszawie wyruszył na swym aeroplanie w dalszą drogę do Petersburga.

Wspaniała ta wyprawa, która dokonała przewrotu w dotychczasowych stosunkach komunikacyjnych, zapisze się niezatartemi zgłoskami w dziejach lotnictwa i wogóle postępu ludzkości.

Z półek księgarskich.

Iwonicz, zakład zdrojowo-kąpielowy i klimatyczny, jego opis, dzieje i znaczenie. Zebrał i opisał Karol Trochanowski. Nakładem Zakładu zdrojowego. Odbito w Drukarni Zygmunta Jelenia w Tarnowie.

Autor we wstępie do swej pracy powiada:

„Niemniej wydało mi się wskazanem raz jeszcze zebrać pokrótce wszystko, co może podnieść znaczenie Iwonicza, by uprzytomnić publiczności polskiej, jakie skarby w swej ziemi posiada i że to prawie grzechem narodowym szukać ulgi w cierpieniach u obcych i wywozić ciężko zapracowany grosz z kraju, gdy tu u siebie mamy tak znakomite źródła zdrowia.

Podyktowało więc autorowi tę pracę poczucie obowiązku względem swego społeczeństwa, a także szczery pietyzm dla uzdrowiska. W pracy niniejszej przedstawione są wiernie i chronologicznie przedewszystkiem dzieje zakładu zdrojowego od czasów najdawniejszych, szczegółowo zaś od r. 1837; część pracy stanowią dawniejsze rozbiory chemiczne wód i rozbiory wykonane przez samego autora w latach od 1886–1911 r.“

Publikacya niniejsza zasługuje ze wszechmiar na pochwałę tak ze względu na swą treść, jak też i artystyczne wykonanie.

Okładka, według oryginału prof. A. Arendta, wyszła z Zakładu litograficznego p. I. Ringelheima w Tarnowie, ośmnaście pięknych klisz, przedstawiających najcelniejsze widoki Iwonicza, sporządziła według fotografii Majewskiego pracownia Jabłońskiego i Sp. w Krakowie.

Jest to właściwie album, mogące stanowić ozdobę każdego salonu.

Ze świata kobiecego.

Sezon kąpielowy.

Koniec czerwca przypomina nam, że czas już pomyśleć o wywczasach letnich. Wiele pań gotuje swe wyprawy do wód i nad morze, lub też w nasze cudowne góry i do naszych polskich zdrojowisk. Mieszkania pozamawiane, mężowie trzęsą głowami nad rachunkami za suknie i kapelusze. Ale muszą niestety, pogodzić się z koniecznością i także gotować się do odlotu z miast na wakacye.

Wiele z moich czytelniczek z pewnością wybierze się nad morze. To też w dzisiejszym numerze przynoszę szereg illustracyi z sezonu, które przedstawiają najmodniejsze kreacye na polu tego, co moda przepisuje do kąpiel.

Kostyumy, noszone nad morzem, odznaczają się w tym roku możliwie silnemi barwami, króluje jednak jak zwykle kolor biały. Główne *genre* stanowią kostyumy, żakiety i suknie *frottin*. Kapelusze kąpielowe przybrały ładną i prostą formę pasterek, o wielkich rondach i specyalnie zbudowanej główce. Są bardzo twarzowe i doskonale chronią przed słońcem południa.

Najfantastyczniejszemi jednak w tym roku są



Modne płaszcze kąpielowe z materyi wzorzystej.



Kostyum kąpielowy z tafty, ozdobiony koronkami.

kostyumy kąpielowe. Całe bogactwo barw i kwiatów zebrało się, aby ustroić płaszcze. Podajemy illustracyę dwóch takich płaszczów. Wyglądają one tak wspaniale, iż nieledwie konkurować mogą z płaszczami wieczorowymi.

Kostyum kąpielowy to dzisiaj już nie kostyum, skromny i mały w swej objętości, to cała suknia. Krótka ta toaleta robi się dzisiaj z całem wyrafinowaniem. Tam, gdzie użyto jako materyał trykotu, kostyum zdobią mnogie *ajoury* i zgrabne wstawki. Inne kostyumy robione są z jedwabiu, *serge*, miękkiej wełny. Krój ich przypomina bluzki *kimono*, od dołu zakończone zgrabną tiuniką. Mnogie polisowania walczą o lepsze z bogatymi ozdobami z guzików, wstawkami, szarfami i przepięciami.

W dzisiejszym numerze podaję dwie illustracye takich kostyumów. Jeden z nich ma spodniczkę i krótkie majteczki, ozdobione wolanem, drugi zaś ma śliczne przybranie z jedwabiu i haftów.

Niechże więc nasze panie, wybierając się do wód rozważą, czy ubierać się w obcisłe trykoty, ma się rozumieć tylko czarne, czy też robić sobie takie ozdobne kostyumy, które są cokolwiek dyskretniejsze.

W dziedzinie ogólnej mody króluje tiul.

Haftowane białe suknie tiulowe, na białej *liberty*, zdobne koronkami *Alençon*, są najmodniejszą kombinacyą obecnego sezonu. A poza tem wszystko jest tiulowe, a więc żakieciki, tiuniki, manszety, kołnierze, bluzki, ba! nawet całe suknie, stały się *clou* sezonu, a nie zapomnieć jeszcze o tiulowych kapeluszach z szeroko spadającymi rondami, które prześlicznie osłaniają twarzyczki. *A propos!* bluzki tiu-



Kapelusz na plażę z flotentyńskiej słomy z jedwabną kokardą.

lowe! Są one modniejsze niż w innych sezonach, a zwłaszcza zwraca uwagę wielkie *decolleté*, które przy tiulowej bluzce jest dyskretnie przykryte. Ozdobą *decolleté* są riuszki tiulowe, które je okalają. Kołnierz z tyłu jest wysoki, a i riusza jest tak przyszyta, że tworzy formę *a la Medici.*

Jaskrawy kolor w modę wnoszą żakieciki, które nie przebierają w barwach. Im jaskrawsza, tem modniejsza. A i fasony ich są przeróżne, a więc *bolero, Saute en Barque, mantelet* i tysiąc innych odmian. Każdy fason ma swoje właściwe cechy charakterystyczne, którymi choćby tylko w odcieniu barwy różni się od innych.

Z kolorów na pierwszy plan występuje jako kolor sezonu czekoladowo-brązowy, obok niego zaś zielony, który doskonale odbija przy spodniczce czarno białej, wreszcie jaskrawy czerwony, który często nosi obszycia czarne. Jeśli żakiecik jest biały, to otrzymuje często ozdobę w kształcie przewiązki zielonej, którą uzupełniają często kolorowe manszety i kołnierz.

W dziedzinie pasków także mamy szereg nowości. Wysoko podchodzące suknie przestają być modne, natomiast nosi się przewiązki i szarfy miękkie do spodnic, sięgających do pasa. Zasadniczym warunkiem tej nowej mody jest, aby żakie-



Kostyum kąpielowy z niebieskiego jedwabiu z ciemnym wolanem z *serge*.

ciki noszone były otwarte. Ma się rozumieć, że wszelkie te nowomodne paski są zwykle „bajecznie kolorowe“. Najmodniejszym jest kolor różowy zwany „*praline*“. Szarfy noszone są długie, z boku zwisające, przyczem końce często widoczne są z pod żakieciku.

— Nowe fasony kapeluszy tiulowych służą do powiększenia małych główek. Przez obszerne zwisające ronda powiększa się małe modne fasoniki. Tiul jest zwykle plisowany lub marszczony. Fasony te zastąpią znowu te tak bardzo dawniej lubiane „olbrzymy“, pod którymi dyskretnie ukrywano twarze.

W.



Suknia dla dziecka z iryjskich koronek.

Głosy publiczne.

Przypomnienie. Polskie Tow. Balneologiczne rozesłało okólnik do wszystkich lekarzy w Galicyi za pośrednictwem Administracyi „Słowa lekarskiego" pod tytułem: „Pamiętajmy o polskich zdrojowiskach i uzdrowiskach". Okólnik ten zawiera alfabetyczny spis wszystkich zdrojowisk polskich na całym obszarze ziem dawnej Polski z najważniejszemi objaśnieniami co do składu wód, położenia geograficznego, położenia nad poziomem morza, frekwencyi i t. d. Okólnik ten illustrowany jest doskonale wykonaną „Mapą zdrojowisk polskich", opracowaną przez sekretarza Polskiego Tow. Balneologicznego, dra Józefa Zanietowskiego i opatrzoną również bardzo pomysłowymi znakami objaśniającymi. Wogóle przyznać należy, że Polskie Tow. Balneologiczne w Krakowie rozwinęło obecnie gorączkową a zarazem skuteczną czynność około zapewnienia dobrego sezonu naszym zdrojowiskom.

Wyścigi konne w Krakowie. Prezes Towarzystwa, Jego Ekscellencya Roman Hr Potocki wraz z P. T. Członkami komitetu Towarzystwa międzynarodowych wyścigów konnych zwiedzili w bieżącym tygodniu tor wyścigowy gładki i przeszkodowy oraz szkołę skakania, wyrażając się o stanie torów bardzo zadowalająco.

Roboty na placu wyścigowym około budynków i uporządkowania placów są już ukończone, a podczas rannych próbnych galopów jest już ruch ożywiony, bowiem znaczna ilość koni, biorących udział w wyścigach krakowskich do stajen na plac wyścigowy już zjechała.

Sekretaryat wyścigów konnych w Krakowie zawiadamia P. T. właścicieli koni wyścigowych, że tor zwykły będzie bezpłatnie otwarty dla próbnych galopów koni od dnia 14-go do 30-go czerwca b. r. od godziny 5-tej do 9-tej rano.

Sekretaryat wyścigów konnych w Krakowie zawiadamia P. T. właścicieli koni wyścigowych, że szkoła skakania, znajdująca się przy torze wyścigowym (wzdłuż dawnego koryta Rudawy) będzie P. T. właścicielom koni wyścigowych do użytku oddaną od dnia 15 do 30-go czerwca b. r. za opłatą za cały czas 30 koron od jednego konia.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 23.

Trójkąt magiczny:

Z	K	r	a	s	i	ń	s	k	i
K	o	n	k	o	r	d	a	t	
R	a	d	o	m	y	ś	l		
A	g	r	o	n	o	m			
S	t	o	n	ó	g				
I	n	d	y	k					
N	e	l	a						
S	u	m							
K	u								
I									

Zagadka rachunkowa:

10	5	31	40	46	34	9
39	14	27	19	32	3	41
4	38	35	13	20	18	47
26	23	21	49	12	28	16
15	36	33	7	11	43	30
37	17	22	2	25	48	24
44	42	6	45	29	1	8

Przekładanka:

P	i	ó	r	o	p	u	s	z
O	j	c	o	w	i	z	n	a
K	o	b	i	e	c	i	n	a
O	b	e	r	ż	y	s	t	a
R	e	w	o	l	u	c	y	a
A	k	u	s	z	e	r	k	a
N	o	w	e	l	i	s	t	a
I	n	t	r	y	g	a	n	t
E	k	s	p	l	o	z	y	a
B	o	h	a	t	e	r	k	a
I	n	w	e	n	t	a	r	z
O	b	a	r	z	a	n	e	k
S	a	f	a	n	d	u	ł	a
A	m	f	i	t	e	a	t	r
P	i	e	c	z	ą	t	k	a
R	e	p	e	r	t	u	a	r
Z	w	y	c	i	ę	z	c	a
E	m	e	r	y	t	u	r	a
B	a	s	t	o	n	a	d	a
I	n	s	t	a	n	c	y	a
J	u	b	i	l	e	u	s	z
A	m	b	a	s	a	d	o	r

Bilety wizytowe: Belgia, Bruksela. Boliwia, La Paz. Peru, Lima. Szwecya, Stokholm.

Zagadka literacka:

Konopnicka.
Stasiak.
Esteja.
Niewiadomska.
Orzeszkowa.
Feldmann.
Orzeszkowa.
Nałęcz

Rebus: Przez usta dziecinne anioł niekiedy przemawia.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: W. Januszewiczowa Warszawa, J. Jakubowska Kraków, D. Sedyńska Zakopane, M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, S. Kowałówka Kraków, K. Kaim Warszawa, J. Wilczkiewicz Sambor, W. Ostrowski Warszawa, Cz. Lipiński Zakopane, I. Brzostowski Krosno, M. Lisowska Sambor, J. Łopatkiewicz Sambor, M. Wojkowski Tarnopol, M. Wędrychowska Sanok. E. Laskowski Nisko, T. Rzepecki Poznań, W. Urban Lwów, S. Kamocki Jasło, H. Ungar Lwów, R. Linderski Siemiechów, D. Hubaczek Stanisławów, J. Niemojewski Zakopane, S. Karczmarski Poddębie, M. Klappholz Szczawnica, J. Strojek Podgórze, W. Bogusz Zabierzów, A. Gross Kraków, J. Szewioł Prądnik, S. Ramza Wieliczka, M. Bański Liszki, J. Nowacki Śniatyn, J. Darowski Petersburg, M. Sperling Wiedeń, T. Mazaraki Radom, J. Trepka Sandomierz, W. Krzywicki Jasło K. Reichenberg Cieszyn, D. Gross Sanok, L. Sobański Warszawa, M. Münz Stryj, J. Kossowski Lwów, F. Blatterleind Kołomyja, W. Potocka Kraków, S. Kalinowska Podłęże, M. Kobyłecka Stanisławów, M. Kozicka Lwów, J. Bałuk Kraków, J. Skalski Sanok, S. Lemiszewski Żółkiew, K. Armatys Uhnów, J. Czarkowski Poznań, J. Gramski Tarnów, M. Bróż Lwów, S. Bernstein Warszawa, S. Sokołowski Kraków, K. Błachowski Kraków, W. Sołtysik Lwów, K. Zegartowska Bogucice J. Wolny Warszawa, S. Mazurkiewicz Lwów, J. Popiel Kamieniec, J. Jahoda Cieszyn, W. Błoński Kraków, J. Ciszewski Jasło, S. Kamiński Petersburg, K. Radomski Warszawa, S. Rogalski Tarnów, H. Radziński Jasło, L. Lindenbaum Czerniowce, H. Łapińska Kraków, J. Waligórski Lwów, R. Sadowski Kraków, K. Szumańska Rawa Ruska, ks. Szymanek Krużlowa, S. Galiński Nowy Sącz, J. Rogalski Rzeszów, W. Rachwalski Bochnia, M. Borkowska Lwów, K. Ciesielski Rzeszów, F. Horak Oświęcim, M. Domagalska Kraków, W. Raczyńska Sanok, J. Ohrenstein Stanisławów, D. Schwadron Stanisławów, J. Wilkosz Rzeszów, S. Sygnarska Tarnów, F. Frankowicz Lwów, J. Martynowicz Lwów, H. Piątek Podwołoczyska, S. Krzyżanowski Podgórze, J. Broda Tarnów, M. Antosz Sanok, K. Gliński Kołomyja, S. Balicki Lwów, C. Wang Rzeszów, J. Lipowski Lwów, M. Wańkowicz Mińsk, J. Pick Warszawa, H. Obst Jasło, A. Biliński Tarnopol, M. Więckowska Łódź, J. Krawecki Bochnia, K. Fuchs Czeremchów, J Kopczyńska Bierzanów, S. Bukowski Równo, J. Jaworski Kijów, R. Knapik Kraków, W. Świrski Sanok, S. Wiewiórowski Przemyśl, S. Medyński Zakopane, H. Maciejowska Winnica, L. Kwaśniewski Piotrków, T. Nikiel Chrzanów, A. Bandrowski Częstochowa, K. Leszczyński Jasło, H. Figiel Sambor.

Nagrodę przez losowanie otrzymał **ks. Szymanek Krużlowa.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

PIOTR SALES

LEKARZ CUDOTWÓRCA

Tłumaczyła MARYA SEGENY.

1

I.

Wodotrysk.

— Jeszcze jedna! jeszcze jedna! Wszystkie lewy! Mały szlem! — Ojczulek pobity na całej linii! — Radosny ten tryumfalny okrzyk, wybiegł z ust panny Morel, miłego, delikatnego stworzenia, o jasnej twarzy, niepozbawionej lekko drwiącego uśmiechu.

— Przeklęty bębnie!

Uśmiech panny Morel, zamienił się w śmiech donośny.

Szeroka, dobra twarz p. Pawła Morel wyraziła przez krótką chwilę niezadowolenie, bo przegrana w pikietę, nabawiała go zawsze złego humoru i kończyła się niejednokrotnie sprzeczką.

Ale dzisiaj zły humor p. Morel'a rozwiał się szybko; naprzód dlatego, że otaczała go tak serdeczna atmosfera domowa, a potem, jakże mógł gniewać się o przegraną, pochodzącą od bardzo mu sympatycznego ucznia.

— Niech pan przyzna jednak — zwrócił się do swojego przeciwnika Stanisława Gewolskiego, młodego bardzo wytwornego człowieka — że pikieta jest tak samo zajmująca, jak wasz zachwalany tak bridge.

— Nie mów nic złego o bridge'u ojczulku — zawołała panna Lusia z wymówką w głosie.

Bo bridge i aparat fotograficzny stał się środkiem, przez który to Stanisław Gewolski, który zapamiętale nudził się nad morzem w Saint-Lunaire, mógł wejść ostatniego lata w przyjazne stosunki z sympatyczną rodziną Morelów.

A zostać przyjacielem pana Morela, nie było rzeczą łatwą; nie ze względu na niego samego, bo dla ludzi miał on zawsze serce i rękę otwartą, lecz cerberem rodzinnym była „mama", chociaż i ta pozornie nie wydawała się surową. Była to kobieta o wielkiej prostocie ducha, łagodna i uległa, a jednakże jej to ulegali wszyscy w domu.

Fernanda, najstarsza córka Morelów, musiała swojego czasu stoczyć prawdziwą walkę z matką o pozwolenie zdania egzaminu i wstąpienia jako urzędniczka do administracyi telefonów, co w skutkach okazało się bardzo rozsądnym zamiarem, zważywszy, że Fernanda, jako córka ubogiego artysty malarza nie mogła liczyć na żaden posag. Z wielką więc przykrością widziała pani Morel starszą swoją córkę odjeżdżającą codziennie rankiem do Paryża, do swojego zajęcia, ale żegnała ją tak wymownem opiekuńczem spojrzeniem, iż na cały dzień uspokojoną już była, przekonana, że spojrzenie to, pełne macierzyńskiej czujności, powinno córkę jej ubezpieczyć przed niebezpieczeństwem, mogącem jej grozić w wielkiem mieście. Młodsza zaś Lusia, nie przyczyniała się w niczem do niepokoju matki. Miłe to stworzenie, zdradzające wybitne zdolności w malarstwie, stało się wkrótce bardzo cennym współpracownikiem ojca.

Bogactwo nie kwitło w rodzinie Morelów, ale zato panowało tam niepodzielnie ciche szczęście i harmonia.

Byli oni w posiadaniu małego domku, składającego się z kilku pokojów, dostatnio urządzonych i pracowni, w której ojciec dnie całe przesiadywał, z fajką w ustach i olbrzymim, założonym na ucho, kapeluszu.

A przedewszystkiem był tam ogródek, z pięknemi drzewami i kwiatami, a przed domem trawnik, równy i miękki jak dywan, otaczający basen z wodotryskiem, chluba starego malarza.

Każdego roku, podczas wakacyi Fernandy, cała rodzina wyjeżdżała na wybrzeża Bretanii, spędzić tam kilka letnich tygodni. Zamieszkiwali w dwóch ciasnych, ale słonecznych pokoikach, całe dnie spędzając nad morzem lub pnąc się po skałach. Tam to poznali Stanisława Gewolskiego, który jednego dnia w sam czas nadbiegł, aby uchwycić Lusię, staczającą się z urwistej skały prosto w morze. Wdzięczność Morelów nie miała granic. Zawiązano z młodym wybawcą bliższy, przyjazny stosunek, który zrobił się jeszcze ściślejszy za powrotem całej rodziny do Paryża. Pani Morel czuła pewien niepokój, gdy odwiedziny Stanisława Gewolskiego stawały się częstsze i zwracała niejednokrotnie uwagę swojemu mężowi, że należy być ostrożniejszym w postępowaniu z nim, skoro się ma w domu dorastające córki. Lecz młody człowiek zachowywał się z tak dyskretną rezerwą, był tak uprzedzająco grzecznym dla niej, a przytem pan Morel był tak uszczęśliwiony, że przekonał go nareszcie do swojej ulubionej gry w pikieta, że nie miała serca mącić zbytnią surowością przyjemnych wieczorów, spędzanych z miłym gościem w zaciszu ich ciepłego, domowego ogniska.

— Ten młody nasz przyjaciel jest jednak zanadto piękny, zanadto elegancki i ma znajomości wybitne w tym wielkim świecie, do którego my nigdy należeć nie będziemy — mawiała pani Morel niekiedy, po odejściu Gewolskiego, do męża, który uspakajał zawsze jej skrupuły, dobrodusznym uśmiechem i uściskiem. Ale dzisiejszego wieczoru, nie bacząc na rozpromienioną twarzyczkę młodszej córki i zadowolenie męża, pani Morel okazywała gościowi lekką oziębłość i czoło jej zachmurzało się stopniowo, im głębszy zapadał wieczór.

Wielki zegar ścienny wydzwonił pomału godzinę dziewiątą.

Brwi pani Morel ściągnęły się lekko.

— Niech pan uważa, żeby się nie spóźnić na pociąg — rzekła dobitnie do gościa.

Twarz młodego człowieka oblekła się cieniem rozczarowania i smutku. Jeszcze dwa pociągi odchodziły przed nocą do Paryża, a on by tak pragnął, by mu pozwolono pozostać jak najdłużej. Był tak zajęty cały wieczór grą w pikietę ze swoim starym przyjacielem, że nie miał sposobności zagrać pannie Lusi i jej siostrze nowo przywiezionego walca.

— Oh! mamusiu! — zawołała Lusia z wyrzutem, podczas gdy Fernanda otwierała już fortepian i rozkładała nuty.

— Moje dzieci — rzekła pani Morel stanowczo i poważnie — jest już dość późna godzina. Dziś rano dowiedziałam się o dwóch nocnych napaściach na drodze do kolei, a nie chciałybyście, przypuszczam, narażać pana Stanisława i ojca na niebezpieczeństwo. A zresztą macie jeszcze kilka minut czasu do odegrania walca, zanim się ojciec wasz ubierze, bo sądzę, że, jak zawsze, zechce odprowadzić naszego przyjaciela do pociągu.

Mówiąc to, pani Morel pociągnęła znacząco męża za rękaw i wyszła do sąsiedniego pokoju.

— Masz jeszcze pięć minut czasu — rzekła, gdy znaleźli się sami — chcę cię więc prosić, abyś dziś jeszcze rozmówił się stanowczo z Gewolskim i zapytał o cel tak częstych odwiedzin.

— Ależ, moja droga, to taki porządny, miły chłopak!

— Tem więcej dziwię się, że sam nie uczynił dotąd pierwszego kroku do ostatecznej rozmowy z tobą! Powinien zrozumieć, że postępowanie jego kompromituje naszą Lusię.

— Ależ, moja droga, przyjaźń tak zacnego człowieka nie może w niczem narazić opinii takiego dziecka, jakiem jest Lusia. Fernanda, która jest już prawie dojrzałą kobietą i zna życie, prawie jak ty, mówiła mi jeszcze wczoraj, że p. Stanisław nigdy nie mówił Lusi czegoś podobnego, coby nie mogło być powtórzonem przy nas!

— A jego oczy! zachowanie! drżenie rąk, które zauważyłam, ilekroć dotknie się palców małej! Nie, tak dalej być nie może! Pan Stanisław powróci tu tylko w roli narzeczonego, lub nie powróci wcale. A teraz idź i posłuchaj mnie.

Głębokie westchnienie poruszyło piersią p. Morel. Czekało go niemałe zadanie. Widocznem było, że Gewolski nie jest jeszcze usposobionym do zwierzeń, a Morel wiedział, że ma ojca, majętnego i szalenie ambitnego człowieka. Lecz wspomnienie zawsze uśmiechniętej twarzyczki swojej córki i obawa, aby ten „mały kolega", jak ją nazywał, nie poznał za wcześnie smutków i rozczarowań młodości, dodawało mu odwagi. Postanowił usłuchać rozkazu żony.

— — — — — — — — — — — — — — — —

— A to co? — zawołała pani Morel, wchodząc do pokoju, na widok Lusi, stojącej w głębokiej zadumie przed fortepianem — to tak się idzie spać, moja panno?

Lusia drgnęła, zamknęła szybko fortepian i uporządkowała nuty.

— No, dalej! prędko na górę — burczała łagodnie matka. — Fernanda musi wcześnie wstać rano do biura, a nie obejdzie się bez tego, byście, jak zawsze, nie terkotały jak sroki z dobrą godzinę przed spaceram!

W kwadrans później w pokoiku obu sióstr panował pozorny spokój.

Pani Morel dłuższy czas chodziła jeszcze po jadalni, porządkując, zamykając i otwierając szafy, wkońcu, zniecierpliwiona trochę trwającą za długo nieobecnością męża, poszła do swojej sypialni, otworzyła okno i wyjrzała do ogrodu.

— No nareszcie! — rzekła po małej chwili.

Pan Morel otwierał furtkę i przechodził przez ogród. Teraz słyszała, jak wchodził do przedpokoju, zdejmował płaszcz, kapelusz, wchodził szybko na schody. Ale nagle wrócił się, przeszedł tę samą drogę do ogrodu.

Pani Morel zrozumiała natychmiast przyczynę tego odwrotu; dziwnym jakimś wypadkiem, wodotrysk pana Morela, jego największa chluba i troska, wstrzymał niespodziewanie swój bieg.

Pan Morel podszedł do basenu, następnie oddalił się trochę w głąb ogrodu, do zbiornika wody.

Upłynęło kilka minut. Pani Morel niecierpliwiła się:

— Naturalnie! wodotrysk ważniejszy od wszystkiego! Widział to kto zajmować się podobnemi głupstwami w nocy.

Wkońcu cierpliwość odbiegła ją zupełnie.

— Ależ, zostawże ten wodotrysk w spokoju! Zaziębisz się! — zawołała z irytacyą w głosie.

Nie otrzymała żadnej odpowiedzi. Zeszła więc

ze schodów do ogrodu. Widocznie nie ciekawe no winy przynosił od Stanisława Giewolskiego, skoro nie spieszył się podzielić z niemi.

— Pawle! Pawle! odezwij się przecież! — wołała, biegnąc w głąb ogrodu. Lecz nagle stanęła, zdumiona, w szarem świetle nocy, dojrzała na ścieżce porzucone narzędzia, a ziemię i trawnik zdeptane, pokryte jak gdyby śladami walki.

Przeczucie, że stało się jakieś nieszczęście, oprzytomniło ją.

— Pawle! mój drogi Pawle! Gdzie jesteś! zaklinam cię, odezwij się! — błagała drżącym głosem. — Przecież widziałam cię idącego tędy przed chwilą! Pawle!

Ale cisza zupełna zalegała ogród.

Podbiegła więc pod okna pokoju córek,

— Fernando! Lusiu! chodźcie prędko! ojciec! wasz ojciec! Co się z nim stało, o Boże!

Za chwilę dziewczęta, na prędce ubrane, wpadły wylęknione do ogrodu!

— Ojciec tu był, widziałam, szedł już na górę! Wrócił się do wodotrysku i znikł gdzieś nagle — tłumaczyła szybko pani Morel. — Szukajmy go! Może zachorował.

Fernanda nie straciła zimnej krwi; zapaliła szybko latarnię ogrodową i przy jej świetle ujrzała dokładnie ślady zauważone przez matkę, a gdy podniosła wyżej latarnię, okrzyk stłumiony wybiegł z jej piersi. Część muru ogrodowego była zupełnie rozwaloną!

— Ojczulek! co się stało z ojczulkiem! — jęknęła Lusia na ten widok. — Skoczyły obydwie na kamienie, wypatrując i nadsłuchując z rosnącym niepokojem. Ale nic nigdzie, ani śladu żadnego, ani odgłosu! Noc była cicha, a małe spokojne miasteczko zupełnie uśpione! Zaledwie po półgodziny, zbudzonych donośnym płaczem trzech kobiet i służącej krzyczącej o ratunek, zjawiło się przed domem pani Morel paru sąsiadów i wysłuchawszy jej opowiadania, dali znać do posterunku żandarmeryi o nagłem i tajemniczem zniknięciu pana Morela.

Nad przepaścią.

Księżna Sahadzia powolnym krokiem schodziła ze schodów pałacu ministerstwa sprawiedliwości, a wszyscy obecni, rozstępujący się przed nią, przyznać musieli, że tutaj wydawała się jeszcze piękniejszą i wspanialszą niż w salonach wśród natłoku ludzi, na tle różnokolorowych tualet kobiecych. Przepiękne zaś jej brylanty, okrywające piersi i królewski dyadem, wieńczący jej czarne włosy, budziły u kobiet jeszcze żywszą zazdrość, niż jej uroda.

Księżna szła wsparta na ramieniu sławnego lekarza Mateusza Gewolskiego.

— Nigdy nie byłaś tak piękną jak dzisiaj, nawet w pierwszych latach swojej młodości — mówił szeptem do swojej towarzyszki — i żadna kobieta dorównać ci nie może. Dziś dopiero pojmuję, jakim nędznym szaleńcem byłem, nie poświęcając ci życia całego, rozdzielając życie nasze, przez głupią obawę ubóstwa. Ale teraz rozporządzaj mną jak swoim niewolnikiem!

Doktór Gewolski w niczem nie przypominał syna swojego, Stanisława; był to wysoki, imponującej postawy mężczyzna, stanowczy w ruchach i mowie. Oczy jego z poza złotych okularów, które zawsze nosił, patrzały dumnie i zimno.

Znalazłszy się w przedsionku, Gewolski spojrzeniem przywołał służącego księżnej, a tenże natychmiast z niskim ukłonem podał mu biały płaszcz indyjski, wyszyty złotem, doktór starannie otoczył nim piękne ramiona swojej towarzyszki i sprowadził ją do oczekującego na nich automobilu.

Wszystkie, zebrane przed pałacem powozy i karety, rozstąpiły się z uszanowaniem przed pojazdem księżnej, tak, że szofer, już z miejsca, mógł nadać dowolny bieg swojej maszynie.

— Czy jest co nowego, Mateuszu? — szepnęła księżna, zaledwie znaleźli się sami. — Widzę na twojej twarzy niebywały niepokój i troskę?

Ściągnięte rysy Gewolskiego wypogodziły się natychmiast, a nawet lekki uśmiech przebiegł po nich, gdy nachylony, obejmował gorącem spojrzeniem piękną kobietę i już miał zbliżyć swoje usta do białej szyi, wyłaniającej się ze złotego kołnierza płaszcza, lecz przypomniał sobie w porę, że wystarczyłoby jedno ciekawsze spojrzenie przechodnia, by skompromitować na zawsze kobietę tę, dziś najpopularniejszą i najdostojniejszą w całym Paryżu.

— Co się stało? — nalegała dalej księżna.

— Opowiem to pani zaraz — odpowiedział stłumionym głosem — ale przedtem pozwól mi jeszcze nacieszyć się sobą! Po tylu latach, odnaleźć cię... prawie królową!

— A ty, czy nie jesteś także jakby królem tej ziemi! Bo jeżeli mówiono wiele dziś o mnie w pałacu ministerstwa, czy nie zajmowano się na równi i tobą, twojemi pracami i sławą.

Ciąg dalszy nastąpi.

Zagadki do nagrody.

Zagadka.

Ułożył Sokrates, Nowy Sącz.

Komórki me cienkie,
Przedsionki me małe,
A przecież je majster
Robił doskonały;
Czasem on żałuje,
Że zrobił daremnie,
A często się cieszy,
Chętnie mieszka we mnie.
Stoję pośród wioski,
W ciągłej pracy żyję,
Nawet, dla porządku,
Beznstannie biję.
Brama w mem podwórku
Klapą się nazywa,
Gorący strumyczek
Przezemnie przepływa,
Porusza do pracy,
Dniem i nocą płynie,
Gdy spocznie na chwilę
Cała wioska ginie.

Logogryf.

Ułożył Sz. Kiliński, Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy utworzy nazwisko współczesnego polskiego literata, pierwszy zaś poziomy tytuł jego utworu.

□ □ □ □
□ — — —
□ — — —
□ — — —
□ — — —
□ — — —
□ — — —
□ — — —
□ — — —
□ — — —
□ — — —
□ — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz 2. Rodzaj grzyba. 3 Biblijne imię męskie. 4. Rzeka na Węgrzech. 5. Inaczej godło 6. Szlachetny kamień. 7. Naczynie 8. Imię żeńskie. 9. Wulkan europejski. 10. Stowarzyszenie rękodzielnicze. 11. Część ciała ludzkiego. 12. Pierwszy lotnik.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Szczęsny Kiliński, Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:
Gość p. Hugo czuje p. Noego i ma piłe.

Bilety wizytowe.

Ułożył Student, Nowy Sącz.

Z liter, pomieszczonych na biletach wizytowych, ułożyć nazwę kraju i miasta, gdzie zamieszkują poszczególne osoby.

A. S. JAN SOTER SIACCO

A. S. DAMAZY SYREK

BEATA REGINA W. PIL

A. A WANDA GELBIG

Anagram.

Ułożył Cz. Kozłowski, Warszawa.

Wziąwszy wyraz, co litery
Zawiera w swym składzie cztery,
Przestawiaj je tyle razy
Aż stworzą, cztery wyrazy.

Gdyby pierwsza nie istniała,
Gdy druga ludzi spotkała,
Zginęłaby ludzkość cała.
Trzeci trunkiem jest i będzie.
A czwarty w dawnych miast rzędzie.

Żadanie literackie.

Ułożył Cz. Kozłowski, Warszawa.

Znaleźć tytuły dzieł podanych autorów, których początkowe litery, czytane z góry na dół, utworzą nazwisko autora „Dziejów mężczyzny".

Gąsiorowski?
Hugo?
Jeż?
Kraszewski?
Kosiakiewicz?
Wołowski?
Orzeszkowa?
Dzieduszycki?
Goszczyński?
Czerikow?

REBUS.



Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Sacher-Masocha:* **Wenus w futrze.** Powieść.

PERFUMY, KREMY, MYDŁA, PUDRY



W dziale perfumeryi artykułów toaletowych i kosmetycznych pierwsze nowości na składzie

SCHAMPOO-TAROOL

jedyny środek do mycia głowy i przeciw łupieżowi.

Główny skład mydeł Malinowskiego z Warszawy.

Nowość! „PNEUMO" aparat do samodzielnego masażu twarzy, polecony przez powagi lekarskie, usuwa zmarszczki, odświeża nawet zwiędłą cerę komplet z sposobem użycia Kor. 6 —

Krem do aparatu Pneumo.



FARBY OLEJNE

szybko schnące do użytku gotowe, lakiery, emailie, glazury bursztynowe, masa francuska, wosk. „Cirina", Parket-Rose i szczotki do froterowania w największym wyborze.

Polecają najtaniej

REIM i SKA Kraków Rynek 37

GRACYA Aptekarza MATULI najlepszy środek do nadania formy wąsom, nieszkodliwy działa dodatnio na porost wąsów.

Przybory kąpielowe i do podróży. Dra Rixa preparaty na porost biustu i inne.



LAWN-TENNIS

RAKIETY, prasy do tychże, PIŁKI, SIATKI. BUCIKI.

PIŁKI NOŻNE

i wszelkie przybory sportowe.

HAMAKI, LEŻAKI



PRZYBORY RYBOŁOWCZE.

Wrotki ameryk. na kółkach.



HOTEL PENSION NOUVELLE

KRAKÓW, ZACISZE L. 14

(W POBLIZU DWORCA KOLEJOWEGO)

NA PARTERZE, I-szem i II-giem PIĘTRZE

POKOJE UMEBLOWANE

OD 2 KORON I WYŻEJ

NA ŻĄDANIE:

OBIADY, KAWA, HERBATA

Gwarancyę zupełną



za niezawodny skutek wytępienia **szczurów, myszy domowych i polnych** dają bakterye

„ANTIRATOL" i „ANTIMUSOL"

wynalazku Dra prof. Löfflera a sporządzone przez c. k. konc. Weterynaryjny Instytut Weterynarza W. O. Thanhofera w Wiedniu o wytrzymałości 4 do 6 miesięcy w cenie:

„ANTIRATOL" Koron **3, 6, 15 i 28,**

„ANTIMUSOL" Koron **3·50, 7, 16 i 30,**

oraz **gotowe już trutki** (na wytępienie szczurów jakoteż i myszy) tak zwane reklamowe o wytrzymałości 12 do 15 miesięcy w cenie: K **2**, a korzystniej w większych pudełkach po K **3**, wraz z dołączonym dokładnym sposobem użycia franko do każdej stacyi poczt. poczawszy przy zakupnie od K **6**. **Do nabycia** u wyłącznego Gener, zastępcy na Galicyę, Bukowinę, Śląsk austr., Król. Polskie i Ces. Rosyjskie.

Józefa Sadzikowskiego

Sekretarza Instytutu Kraków, Zielona 19.

Bliższe obszerne objaśnienia, prospekty i podanie pierwszorzędnych referencyi darmo i opłatnie. — **Do oddania Wyłączne zastępstwa na Bukowinę, Śląsk austr., Król. Polskie i Cesarstwo Rosyjskie.** — Zgłoszenia na ręce Sekretarza Instytutu jak powyżej.

Leсznica dla zwierząt oraz zakład kąpielowy

Kraków, Lubicz 40

przyjmuje w leczenie wszelkiego rodzaju zwierzęta domowe, oraz przeprowadza zabiegi operacyjne. Dla psów **kąpiele lecznicze** oraz **zwyczajne.**

ARTUR LIEBESKIND, lekarz weterynaryjny.

ROWERY



22 SZEWSKA

KRAKÓW

S. GRUDZIŃSKI I T. BERGER

Zdolnych agentów

poszukuje za stałą miesięczną pensyą w każdej miejscowości Austr.-Węg. i za granicą do sprzedaży różnych losów wartościowych na raty, oraz zastępstwo asekuracyjne. Zgłoszenia pod Generalna Reprezentacya, Kraków, Dietla L. 73. Holzmann.

„SZATNIA" spółka z ogran. odpow.

Kraków, Sławkowska 14. Tel. 2534

POLECA

Na sezon wiosenny i letni

obficie zaopatrzony skład ubrań męzkich.

Wszelkie zamówienia wykonuje się według ostatniej mody szybko i wytwornie.

Specyalność: Ubrania sportowe! Ceny nader niskie!

Rocznie przeszło 10 milionów Koron wydajemy na świece stearynowe wyrobu ZAGRANICZNEGO.

PALĄ SIĘ RÓWNO OSZCZĘDNIE nie kopcą.

KRAKOWSKA FABRYKA MYDŁA

C. ŚMIECHOWSKI

Spółka z ogran. odpow. w Krakowie.

NAJZNAKOMITSZY WYRÓB KRAJOWY.

ŚMIECHOWSKI MARKA OCHRONNA.

ALOJZY MAJEWICZ

w Krakowie, ulica św. Jana L. 4

długoletni przykrawacz i kierownik fachowy w pierwszorzędnej firmie

Otworzył własny zakład krawiecki

Wykonuje wszelkiego rodzaju ubiory męskie z największą starannością. — Na składzie materyały krajowe i zagraniczne.

Ceny najprzystępniejsze.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.